



Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

Kwartalnik nr 1(77)/2014

www.scenapolska.nl

ISSN 1233-7633

Cena: 2 EURO

FESTIVAL OF POLISH FILMS IN THE NETHERLANDS

6^e POOLSE FILMLENTE

6. POLSKA WIOSNA FILMOWA

POOLS PODIUM & WOLFF BIOSCOPEN PRESENT



UTRECHT
11, 12, 13 APRIL 2014

WOLFF CITY CINEMA

WWW.WOLFF.NL

Art P. G. 2014

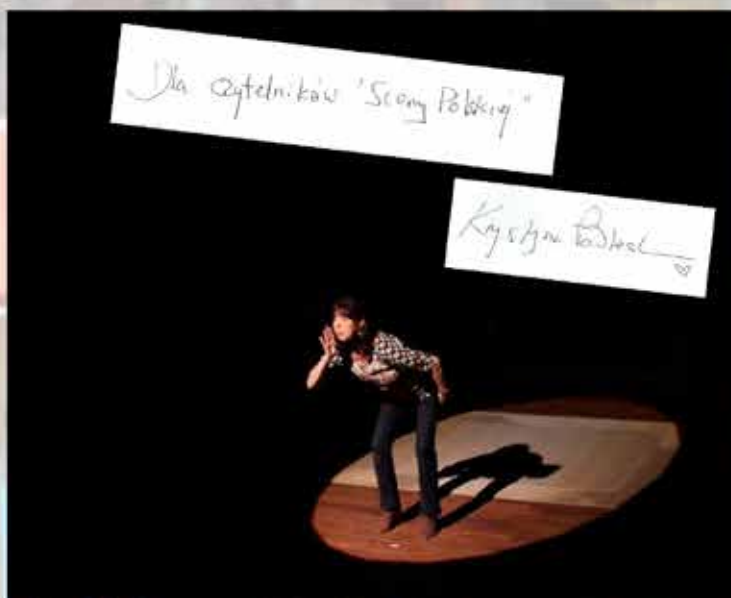


WWW.POOLSPODIUM.ORG

Scena Polska w Holandii - "Teatr Bez Granic"



Teatr Kikker - Utrecht, 8.03.2014



Fot. Agnieszka Wielopolska



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy,

Zawsze, gdy zaczynam pisać i chcę w tym miejscu scharakteryzować oddawany w Wasze ręce najnowszy numer Sceny Polskiej, szukam jakiegoś wspólnego charakteru zawartych w nim materiałów. Tym razem nie muszę szukać, bo już na pierwszy rzut oka widać, że jest to numer wiosenny, filmowo-teatralny, tonący w kwiatach, a zwłaszcza w tulipanach. Jest kolorowo, chociaż tylko na okładkach i czego mu brakuje, to odrobiny zapachu kwiatów. Ale kto przyjedzie na 6. Polski Festiwal Filmowy do Utrechtu, ten z pewnością ten zapach poczuje. Holandia rozkwita kwiatami, a komu mało, to może znaleźć ich miliony na wystawie Keukenhof w Lisse. A tulipany na okładce zapraszają do kina. Andrzej Pągowski, mistrz plakatu filmowego, po raz kolejny stworzył dla Sceny Polskiej dzieło, które z pewnością przejdzie do historii polskiego plakatu.

Mamy nadzieję, że wybiorą się Państwo do kina Wolff City w Utrechcie, na 6. Polską Wiosnę Filmową, której program opisuje w swoim artykule ekspert polskiego kina, rzecznik prasowy tegorocznego Festiwalu Filmowego w Gdyni dr Anna Wróblewska. Piszemy również o ostatnim sukcesie polskiego przedstawienia i wspa-

niałej, polskiej publiczności teatralnej w Holandii, na który, ze względu na termin nie zdążyliśmy zaprosić swoich Czytelników w poprzednim kwartalniku. Scena Polska próbowała zatem dotrzeć do Państwa z informacją na wszelkie inne sposoby. Widocznie się udało, bo frekwencja była znakomita.

Na przyszłość, aby mogli Państwo otrzymać w krótkim czasie najnowsze informacje o planowanych przez Scenę Polską imprezach, zapraszamy do śledzenia naszych działań na stronie internetowej www.scenapolska.nl (www.poolspodium.org) i na facebooku www.facebook.com/scenapolska. Czytelnicy,

którzy nie korzystają z internetu i chcą otrzymywać pocztą dodatkowe powiadomienia, proszeni są o zgłoszenie tego do redakcji tel.+31 (0) 30 2718296.

Przed nami Wielkanoc. Świąta, które dla każdego mogą mieć inne znaczenie, ale wszyscy czekamy na nie z radością. Wielkanoc kojarzy nam się z ciepłem, spotkaniem rodzinnym, krótkim wypadem za miasto na powitanie budzącej się przyrody i malowanymi pisankami, a w tym roku może kojarzyć się również z... Polską Wiosną Filmową!

W imieniu redakcji i stowarzyszenia „Scena Polska” życzę Państwu wiosennych, filmowych wrażeń oraz Pogodnych i Radosnych Świąt Wielkanocnych.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



W dniu 8 marca odznaczenia z rąk pana Ambasadora Jana Borkowskiego otrzymały Anna François-Kos i Zofia Schroten-Czerniejewicz, więcej na s. 4
fot. A. Wielopolska

SCENA POLSKA | Kwartalnik, nr 1 (77) 2014 | ISSN 1233-7633

WYDAWCA/ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Zofia Schroten-Czerniejewicz (red. nac.), Gienek Brzeziński (sekr. red.), Agnieszka Steur, Alicja Grygierczyk, Natalia Schroten, Ewa Augustyniak oraz zespół.

Stichting Pools Podium

Tel. 31 (0) 30 2718296, fax. 31 (0) 30 2719613, E-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.scenapolska.nl | www.poolspodium.nl

Zdjęcia: Archiwum SPP

Skład: Mariusz Mamet | Mac Map

Druk: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki, Tel. +48 (61) 817 27 64

Okładka: Plakat projektu Andrzeja Pągowskiego

SCENA POLSKA



POOLS PODIUM

www.scenapolska.nl

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY!

Zadbaj o stałą, bezstresową dostawę kwartalnika, zostań Przyjacielem Sceny Polskiej w Holandii. Wpłacisz dobrowolną kwotę na konto IBAN: NL85 ABNA0 518544443 (tnv. Stichting Pools Podium) zapewnisz sobie ciągłość lektury, łatwość dostępu do niej i informacje o wszystkim, co organizuje Scena Polska w Holandii.

Teatr Bez Granic

– marzenie czy rzeczywistość?

Tym razem rozpoczęliśmy bardzo wcześnie promocję spektaklu w Utrechcie z wykorzystaniem wszystkich możliwych mediów, zwłaszcza pomocnego w szybkich kontaktach facebooka. Wielkie podziękowania należą się internetowym mediom społecznościowym, które pomogły nam w dotarciu do nowych widzów. Tydzień przed spektaklem już wiedzieliśmy, że sala Teatru Kikker, z prawie 200 miejscami, nie pomieści wszystkich widzów. Na zaplanowane wcześniej drugie przedstawienie w języku angielskim nie było zbyt wielu chętnych. Szybka decyzja organizatorów i publiczność polska otrzymała możliwość obejrzenia dodatkowego spektaklu w języku rodzimym. Kolejna szybka, chociaż bardzo pracowita akcja i mieliśmy gotowe napisy w języku angielskim, które wyświetlane były na dwóch spektaklach. W naszym teatrze nie może być żadnych barier i granic, ani językowych, ani wiekowych, ani środowiskowych, ani... no właśnie. Czy hasło „Teatru Bez Granic”, które przyjęła dla swoich działań w 1992 roku organizacja, jaką był wówczas Stichting Pools Podium, znany jako Scena to marzenie trudne do zrealizowa-

nia czy piękna rzeczywistość? Dla mnie, to piękne marzenie, które zmieniło się w rzeczywistość. Widoczne to było w Teatrze Rabarber w listopadzie ub. roku i 8 marca w teatrze w Utrechcie. Na wszystkich przedstawieniach komplet widzów. Ogromna radość dla wykonawców i organizatorów. Publiczność ma też powód do radości, bo Scena Polska, która dzięki Wam rozkwita na nowo, widzi sens w częstszym organizowaniu teatralnych spotkań. Ponad dwadzieścia lat działalności Sceny Polskiej w Holandii zostało docenione przez polskie władze i z rąk pana Ambasadora Jana Borkowskiego, dwie inicjatorce organizowania w Holandii i Belgii polskich przedstawień i pokazów polskich filmów Anna Anna François-Kos i Zofia Schrotten-Czerniejewicz otrzymały, przyznawane przez Prezydenta, Krzyże Kawalerskie Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Ale obydwie działaczki nie mogłyby tego dokonać bez wsparcia życzliwych osób, rodziny i przyjaciół. O Ani Anna François-Kos, jej niezwykłym zaangażowaniu w sprawy zachowania polskości w Belgii i Luksemburgu, przeczytacie Państwo więcej w kolejnym numerze kwartalnika.



Hanka Ernstman-Mongard z Wiklinową Maską

Jak Państwo wiecie, Pools Podium ma również swoje odznaczenia: Za zasługi dla Sceny Polskiej i przy szczególnych okazjach, wręczane są „Wiklinowe Maski”. Tym razem szefowa Sceny Polskiej podziękowała holenderskiemu reżyserowi, byłemu dyrektorowi teatru Kikker i innych ważnych scen, obecnie odpowiedzialnemu za kontakty zagraniczne grupy teatralnej „Orkater”, a także wykładowcy uczelni artystycznych, za wiarę i inspirację do założenia w 1992 roku Pools Podium w Holandii. Podziękowania otrzymała również Hania Eerstman-Mongard, która od samego początku wspierała swoją obecnością, radami, a najczęściej pomocą w pokazywaniu polskim gwiazdom, twórcom i gościom Sceny Polskiej piękną kraju tulipanów, szczególnie uroków i „tajemnic” Amsterdamu. Zasłużenie otrzymała „Wiklinową Maskę” i zaproszenie do dalszej współpracy jako prezes Towarzystwa Polek w Holandii. To był naprawdę piękny wieczór, a na dodatek wyjątkowa okazja do świętowania Dnia Kobiet. I znów kwiaty: na scenie, we foyer, w rękach pań i w sercach wszystkich, którzy kochają teatr i mają marzenia...



Maarten Verhoef po otrzymaniu Wiklinowej Maski w teatrze Kikker

fol. NS

ZOFIA SCHROTTEN-CZERNIEJEWICZ

Nie poddawać się

Wywiad z Krystyną Podleską

– **Elżbieta Przeździecka: Krysiu, minęło już ponad 30 lat od czasu „Misia”, a Ty jesteś dalej rozpoznawalna?**

– Krystyna Podleska: Mnie to też dziwi, ale nie narzekam. Po pierwsze może nie zmieniałam się tak drastycznie, ponieważ uważam, że trzeba o siebie dbać. Po drugie ludzie są dla mnie bardzo życzliwi, bo wszyscy kochają ten film.

– **Urodziłaś się w Londynie, ale jakim cudem trafiłaś do Polski?**

– Moi rodzice byli Polakami i miałam w Polsce rodzinę ojca. W latach 60-tych zaczęłam przyjeżdżać do Polski wraz z rodzicami, aby odwiedzać nie tylko rodzinę i ich przyjaciół.

– **Jak trafiłaś do polskiego filmu?**

– Byłam aktorką po angielskiej szkole teatralnej i zdarzyło się, że Stanisław Lenartowicz szukał aktorki dwujęzycznej do swojego filmu „Za dzień, za rok, za chwilę”. Zaproponował mnie Stanisław Dygat, z którym mój tata przed wojną szalenie się przyjaźnił. Przyjechałam na zdjęcia próbne, a to doprowadziło do dalszych filmów: „Barwy Ochronne” oraz „Miś”.

– **Jak Cię znaleźli do „Misia”**

– Dwa Stasie – Bareja i Tym widzieli mnie w „Barwach ochronnych” i zdecydowali, że „większej idiotki” do zagrania roli Oli Kozel nie znajdą.

– **Ale dlaczego „idiotka”?**

– Nie byłam całkowicie świadoma warunków życia w Polsce, które oni tak bezlitośnie krytykowali i wyśmiewali, więc robiłam autentyczne wrażenie „dziecka we mgle”, co pasowało do roli Oli. Przyjechali do Londynu, spotkaliśmy się i „klamka zapadła” – zostałam obsadzona w roli Oli.

– **„Miś” bawi nas stale i już trzecie pokolenie zachwyca się tym filmem, a czy aktorzy i ekipa na planie też się tak dobrze bawili?**

– O ile ja pamiętam to było straszliwie zimno, warunki były ciężkie, nie było zaplecza tak jak teraz, cateringu, no i nic w sklepach. Było tak jakoś smutno, ale artyści którzy zazwyczaj są „bohema” nie mieli konsumenckich wymagań.

– **A legendarny Bareja jaki był w pracy?**



Krystyna Podleska i Elżbieta Przeździecka w teatrze w Krakowie

fot. Archiwum autorki

– Dowcipny, pogodny, uśmiechnięty. Pamiętam jak najbardziej pozytywnie, tak jak współpracę ze Stasiem Tymem, z którymi naprawdę cudownie się pracowało.

– **Teraz mieszkasz w Polsce i grasz na polskiej scenie.**

Tak, bardzo sobie to chwalebę, gdyż jest to moje prywatne osiągnięcie, ponieważ gram w języku polskim, który nie jest moim pierwszym językiem i mam nadzieję, że pozbyłam się obcego akcentu i że stało się coś, co było dla mnie nie do wyobrażenia w Londynie, kiedy byłam „polskim zuszkiem” na emigracji; mogę mieszkać w wolnej Polsce i spełniać się jako polska aktorka.

– **Czy jesteś po raz pierwszy w Holandii?**

– Nie, chociaż muszę się przyznać, że zawsze byłam przejazdem samochodem w drodze do Polski i nie miałam okazji poznać i zwiedzić ten kraj.

– **Jesteś też tłumaczką monodramu „Mój boski rozwód”?**

– Tak, bo uważam, że trzeba wykorzystać fakt, że jestem dwujęzyczna, a poza tym tłumaczenia mają na mnie uspokajający wpływ. Zamykam się i całkowicie wyłączam się z życia. Myślę, że to w dzisiejszych czasach jest potrzebne od czasu do czasu.

– **A Twoje hobby?**

– Mój pies Heban – czarny labrador i czasem trochę zabawić się, iść do kawiarni, spotkać się z przyjaciółmi, potańczyć. Jestem człowiekiem wesołym i zabawowym.

– **Krysiu, czy ten monodram trochę odzwierciedla Twój charakter i sposób patrzenia na świat?**

Tak, bo gram kobietę, która wbrew przeciwnościom losu potrafi śmiać się z siebie, mieć dystans do siebie, a w końcu odnaleźć się w życiu. Nie poddawać się to moje motto życiowe.

ROZMAWIAŁA
ELŻBIETA PRZEŹDZIECKA

„Mój boski rozwód”

– mój boski powrót na łono polskiej kultury



MAŁGORZATA DOSZCZAK

Latą świetlną nie byłam w teatrze — niestety po każdej kolejnej przeprowadzce następuje okres karencji wypełniony organizowaniem życia na nowo, a ponadto moja Druga Połówka odmawia udziału z powodów językowych. W grę wchodziła więc tylko opera, bo tu tekst ma niewielkie znaczenie. No i musicalowe produkcje z udziałem naszej córki (tu tekst też zresztą nie bardzo się liczy).

Ten smutny los zmieniła marcowa sobota: przyjaciółka wyciągnęła mnie na polskie przedstawienie w Utrechcie. Babskie wyjście na Dzień Kobiet i jednocześnie nasz pierwszy kontakt z polską kulturą w Holandii. A także z polskimi organizacjami i „starą Polonią”. Imprezę zorganizowało stowarzyszenie Scena Polska w Holandii (Pools Podium), które od wielu lat promuje tu polską kulturę, zwłaszcza teatr i film. Organizuje przeglądy polskich filmów (na pewno już ich nie opuszczę!), a także sprowadza wartościowe przedstawienia.

Tym razem był to monodram irlandzkiej autorki Geraldine Aron „Mój boski rozwód” („My brilliant divorce”) w reżyserii Jerzego Gruzy i wykonaniu Krystyny Podleskiej. To pierwszy spektakl z udziałem pani Krystyny, który miałam okazję obejrzeć. Dzięki niemu przestałam postrzegać ją wyłącznie w kontekście kulturowej roli w „Misiu” Barei. A tak niestety mnie, podobnie jak całemu mojemu pokoleniu, kojarzy się pani Krystyna (zapewne ku jej smutkowi, bo przecież zagrała wiele innych interesujących ról). Zabawna opowieść pięćdziesięciolatki zamienionej przez męża na nowszy model o jej przeżyciach związanych z rozwodem cieszy się w Polsce powodzeniem od lat. Małżeństwo w rozsypce, dorosła córka wyprowadza się do chłopaka, a matka krytykuje każdy ruch Angeli.

Bohaterka próbuje poskładać swoje życie i odnaleźć się na nowo, o czym opowiada widzom, co chwila wcielając się w role kolejnych osób z nią związanych. W założeniu to sztuka lekka i kobieca, wyznania bohaterki skłaniają jednak również do refleksji nad zmiennymi kolejami życia oraz trudnymi relacjami. Choć napisana przez kobietę, sztuka świetnie puentuje „kobietą logikę”. Ciągłe „przemiany” bohaterki dodają spektaklowi dynamizmu. Jest w tej sztuce także sporo doza ironii i komizmu — bohaterka sama z siebie drwi. Przy tym osobowość aktorki z jej poczuciem humoru i komediowymi predyspozycjami z jednej strony, a pewną dziewczęcą naiwnością z drugiej, sprawia, że na przemian zamyślamy się i wybuchamy śmiechem. Jednym słowem w sam raz na Dzień Kobiet.

Świetny wybór pań ze Sceny Polskiej! Doceniony zwłaszcza przez kobiety, które zjawily się tłumnie. Niewielki Theater Kikker pękał w szwach (drugie przedstawienie zaplanowane pierwotnie po angielsku, zostało też wykonane po polsku, tylu było chętnych). Przedstawienie połączono z dodatkowymi uroczystościami: Przed spektaklem dwie długoletnie propagatorki polskiej kultury odebrały

z rąk pana ambasadora RP odznaczenia za swoje zasługi dla kultury. Po przedstawieniu nadszedł czas na nieformalne spotkanie przy winie i pączkach (bardzo smaczne!, sponsorowane przez polski supermarket Groshland z Utrechtu). Wszystkie panie zostały obdarowane kwiatami (jednak przyjemnie jest ten Dzień Kobiet obchodzić!). Pani Krystyna okazała się bardzo miłą i bezpośrednią rozmówczynią, z zapałem udzielającą się towarzysko, choć przecież czekało ją jeszcze kolejne przedstawienie. Przyjemnie widzieć, jak wiele osób odczuwa potrzebę kontaktu z polską kulturą i docenia wydarzenia organizowane z entuzjazmem przez Scenę Polską. I chociaż zdecydowaną większość publiczności stanowiły osoby od dawna zamieszkałe w Holandii i świetnie zintegrowane (prawie same kobiety — czyżby ze względu na Dzień Kobiet?), mam wielką nadzieję, że z czasem podobne wydarzenia kulturalne staną się miejscem spotkań także nowego pokolenia holenderskich Polaków. Bo wszystkim nam się przyda taka wartościowa rozrywka i potężna dawka humoru jak 8 marca w Utrechcie!

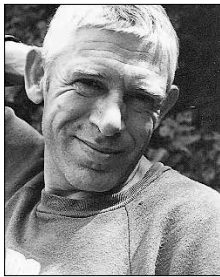
MAŁGORZATA DOSZCZAK
allochtonka.blogspot.com



Krystyna Podleska z publicznością w Utrechcie

fol. A. Wielopolska

Śniadanie wielkanocne



JULIUSZ BURGIN

Więc tak: Dirk jest Holendrem, konserwatorem obrazów, Wojtek fotografem, Natalia – specjalistką od systemów a Kalitowski nie robi nic. Z żoną i dziećmi zaprosiliśmy ich na Wielkanocne Śniadanie.

Kalitowski ma 62 lata. Jest starym kawalerem, przedwczesnym emerytem.

Do Natalii, na przekór jej dość męskiej aparycji, mówi się Natka. Nie jest stara, ale już i nie podłotek.

Holender Dirk z powodu guza na móżdgu urósł do 2 metrów i 15 centymetrów. Kościec ledwo go nosi. Człapie pochylony w prawo i w przód.

Wojtek jest kaleką po Heine-Medinie. Zżywa masę pigulek. Po niektórych puchnie. Z bólu i nieszczęścia pije. Jest cichy, kulturalny. Kiedyś napadły go łobuzy. Chwalił się, że pogonił ich łaską, ale wygadał się, że go doszczętnie okradli. Skurczoną posturą budzi chęć opieki i lgną doń kobiety, a on się im nie opiera.

Natka nie jeździ samochodem a pędzi. Ze sportów uwielbia szybkiego ping-ponga. Mówi z prędkością karabinu maszynowego. Odpowiada jeszcze przed końcem pytania.

Ogromny Dirk góruje jak wieża, a mimo to wciąż domaga się uwagi. Wymachuje łopatomy dłoni, dudni głosem gdzieś z brzucha. Trudno wtrącić słowo.

Inżynier Kalitowski, przez znajomych zwany Kalitosem, nie potrafi wbić gwoźdź. Śruby też nie wkręci. Jego siłą jest koncept, a nie wykonanie. Podobnie podchodzi do życia... Kalitos wszedł w okres postkobiecey. Kiedyś je kochał, teraz oddycha z ulgą, że już nie musi. Mieszka z psem.

Wojtek też miał kiedyś psa. I żonę i dwoje dzieci. Skończyła się jednak harmonia w rodzinie... Teraz żyje samotnie na drugim piętrze w blokach, z windą i balkonem.

Wielki Dirk również miał kiedyś kobietę. Sięgała mu do piersi. Przed dziesięciu laty

zginęła w wypadku... Trzęsie mu się bas, kiedy o niej mówi. Innej nigdy już nie miał. Natka jest rozwiedziona. Jedynym mężczyzną w jej życiu jest syn. Ma dwadzieścia lat i mieszka z matką, ale już wyrwa się z domu... Kielicha Natka nie odmawia. Terkocze potem jeszcze prędzej i jeszcze piskliwiej się śmieje. W domu nie ma telewizora. Grają z synem na pianinie, na kompaktach z klasyką i na komputerach.

Kalitos pija koniak. Po kilku kieliszkach snuje surrealistyczne opowieści ze swych dawnych miłosnych przeżyć i poważnych lektur.

Dirk jeździ na specjalnym, ogromnym rowerze. W mieście jest znany. W niektórych kawiarniach, gdzie zalewa robaka, widać jego podobizny.

Wojtek też ma specjalny rower. Śmiesznie niziutki... Kiedy pigułki trachną go zbyt ostro, nie rusza się z domu. Zaprasza wtedy do siebie i fotografuje. Cudem zmienia obiektywy trzęsącymi się rękami. Uspakaja je kieliszkiem wina.

Wojtek przyszedł z przyjaciółką, Natka z synem, Kalitos z psem a Dirk przyszedł sam.

Siedliśmy do Wielkanocnego Śniadania. Nasz pies zaprosił swojego gościa pod stół.

Na obrusie w kwiatuśki nie zabrakło niczego. Była świąteczna szynka, pieczona kielbasa, zielone gałązki między talerzami. Były ryby, sery, przyprawy, pieczywo, piśanki...

Żona wstała. W rękę trzymała talerzyk z pokrojonym w kęsy jajkiem na twardo. Unieśliśmy się z miejsc, psy wylazły spod stołu. Żona zmówiła krótką modlitwę, przeżegnała stół i poszła w krąg dzieleić się jajkiem...

Zajadali, aż im się uszy trzęsły, popijali obficie winem. Gadali bez przerwy wszyscy na raz. Olbrzym Dirk dudnił do dzieci, dzieci popiskiwały do psów, psy warczały, bo pod stół spadały kaski... Wojtek szeptał w uszko swojej przyjaciółce, przekomarzała się Natka z synem, Kalitos ze mną wiódł dyskurs przez stół. A nasza gospodyni polatywała do kuchni i chichotała w biust.

O trzeciej po południu Wielkanocne Śniadanie dobiegało końca. Dopiliśmy kawy, wina i likiery i ruszyliśmy na niespieszny spacer przez słoneczny park.

Psy i młodzież od razu znikli w alejkach. Człapał Dirk z trajkoczącą Natką i kuśtykał Wojtek z przyjaciółką. Na końcu szedł Kalitos ze mną i żoną pod rękę. Z parkowej muszli dobiegały dźwięki muzyki...

Tego dnia nikomu nie przydarzyło się nic ale to nic złego.

JB

Wiosenna chwila

AGNIESZKA SADLAKOWSKA

Krokusy były pierwsze, gdy nadeszła wiosna. Nie pojawił się śnieg, na który czekaliśmy jak zwykle, żeby spaść rano i stopniał wieczorem, przy okazji paraliżując ruch pociągów na kilka dni. Tego roku śniegu nie było, po jesieni wiosna objawiła się szalonymi śpiewami ptaków, pąkami na drzewach, oślepiającym w południe słońcem i porannymi mgłami.

Wtedy właśnie wydarzyło się to spotkanie, na granicy snu.

Nocne powietrze, pachnące księżycem, wilgotne, wypełniło całe mieszkanie.

Zamigotał zielonymi paskami, popatrzył uważnie ogromnymi, czarnymi oczami, usiadł ostrożnie na brzegu kanapy.

– Dlaczego zjawiasz się w środku nocy? – zdziwiła się.

– Jestem jakimś rodzajem Nocnego Stworzenia.

– Masz niesamowite oczy...

– Ile to już lat? – zainteresował się.

– Pięć, odpowiedziała. Najbardziej lubię słuchoać, jak grasz.

– Tak? Wyjawię, tobie właśnie, pewną tajemnicę. Wpuszczam płyn w struny gitary, która ożywa; stajemy się jednością. Muszę cierpieć, żeby tworzyć, ale teraz mam cierpienia pod dostatkiem, nie potrzebuję więcej.

– Nie przeszkadzają ci płomienie świec?

– Bywają fascynujące nad ranem!

Zamyślił się nagle, zasłuchał... Jak te ptaki śpiewają! Już wiosna... Jedźmy nad morze, zdążymy na wschód słońca.

Słońce i księżyc są razem widoczne na niebie, przez chwilę. Koniec marca przypomina początek sierpnia, jest tak ciepło. Po plaży spacerują ludzie, samotnie, z dziećmi, z psami, w grupach, ale nikt jeszcze nie pływa.

Oracze morza wylawiają w sitach na kijach ryby, meduzy, małe krabiki i nieduże, szare krewetki. O te krewetki właśnie chodzi! Małe rybki są wrzucane znów do morza, razem z krabami, choć nie wszystkie, poławiaczom najwyraźniej nie chce się; na to tylko czekają mewy, rozdziubują, co pozostaje w mokrym piasku, po połowach.

Morze, choć spokojne i ciepłe, wyrzuca na brzeg dużo meduz, różnej wielkości, o fantastycznych kolorach i wzorach. Widok zarówno smutny, jak i piękny.

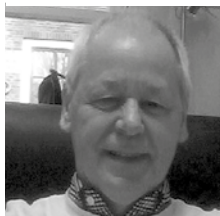
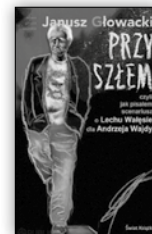
Na horyzoncie, niebieski kuter rybacki z widoczną na burcie siecią, ciągnie za sobą welon mew.

Czas wracać. Zamyśleni, milczący, spoglądamy na siebie. Wiemy, że nigdy nie zapomnimy tej chwili.

AS

Lektura (nad)obowiązkowa

Przysłem do IKEA, czyli coś o Lechu W. i Piotrze C.



GIENEK BRZEZIŃSKI

Przeczytałem krótko po sobie dwie książki; nowoczesną i tradycyjną. Tak je nazwę dla uproszczenia. Jedna napisana przez starego wygę, literata z przeszłością, ironistę i prześmiewcę. Druga napisana przez... no właśnie, przez kogo właściwie? Na okładce i przy „copyright” nie ma nawet pseudonimu, jest tylko „Piotr C.”

Piotr C. udaje trzydziestopięcioletniego prawnika pracującego w jednej z warszawskich korporacji (jakoś nie wydaje mi się, by nim faktycznie był). Z tych nowoczesnych, mieszczących się w szklanych domach, zarabiających mnóstwo pieniędzy, zatrudniających najzdolniejszych, najlepszych, bezkompromisowych ludzi sukcesu, dla których nie ma przeszkód ni fizycznych ni moralnych, by osiągnąć założony cel.

Piotr C. ma świetny, wartki styl opowieści i momentami bardzo trafne spostrzeżenia. Ma też język, który powala. Nawet niekoniecznie swoją giętkością czy wyszukaną frazą; powala przede wszystkim swoją nieprawdopodobną... wulgarnością. Gdybyście chcieli zacytować tu jakikolwiek bardziej znaczący dla tej opowieści fragment, jakiś kawałek dialogu bohaterów, a jednocześnie być w zgodzie z polityką naszego pisma niezamieszczania wyrazów tzw. niecenzuralnych, to cytat taki składałby się głównie z...wielokropków przeplatanych spójnikami. Jeśli takim językiem posługują się młodzi ludzie na inteligentkich, było nie było, stanowiskach, to jest mi ich – i nas -zwyczajnie żal.

Już dawno temu próbowałem walczyć na tych łamach z przeszkadzającymi mi bardzo wulgarnością w polskim języku literackim. Wygląda na to, że była to walka skazana na sromotną porażkę i książka „Pokolenie IKEA” (Novae Res – Wydawnictwo Innowacyjne 2012) musi być tu potraktowana jako dowód rzeczowy. W tak zwanym międzyczasie zdążyłem się już chyba przyzwyczaić do „brzydłych wyrazów” padających z ekranu na polskich filmach; no cóż, trudno się dziwić,

że gangsterzy – ale i ich prześladowcy, policjanci – nie wołają do siebie „kurka wodna” czy inne „ja pierniczę” w najbardziej mrozących krew w żyłach momentach. Ale literatura, słowo pisane, to jednak coś innego. I chociaż i tu, w odpowiednich proporcjach, słowa te akceptuję, to w tym wypadku nie o słowa nawet chodzi, tylko o cały ten język, którym ludzie w tej książce się posługują. I o ich kompletne zubożenie intelektualne, o ich ograniczone ambicje i takież horyzonty, o świat oparty na alkoholu i kopulacji. Smutny to świat, choć książka jest chwilami – przynajmniej – zabawna. Czy byłbym w stanie ją komuś polecić. No cóż, ktoś kiedyś powiedział, że lepiej, żeby ludzie czytali cokolwiek, niż mieliby wcale nie czytać. Otóż nie jestem tego aż tak pewny po tej lekturze.

Druga książka, o której wspominałem na początku jest czymś w zamierzeniu i wykonaniu całkowicie odmiennym. To książka – kronika. Książka – dokument. „Przysłem, czyli jak pisałem scenariusz o Lechu Wałęsie dla Andrzeja Wajdy” Janusza Głowackiego (Świat Książki, 2013).

I tu również nie brakuje wulgaryzmów, ale przecież są one, jak te przysłowiowe rodzyńki w cieście: dodają smaku. Janusz Głowacki pisze we wstępie, z tak charakterystyczną dla siebie i swojego stylu autoironią: „Chciałem wyjaśnić, że piszę tę książkę głównie ze skąpstwa, bo ze dwadzieścia scen, co je napisałem, i parę pomysłów do filmu nie weszło. A ja niektóre lubię, czyli jak mają zginąć na zawsze, to je lepiej zapiszę. Z żadnego tam żalu, goryczy albo żądzdy odwetu, boby to było śmieszne. Podobno Harold Pinter, jak chciał się zemścić na żonie za to, że go zdradza, zerznął jej kochanka. Ja nie mam takich możliwości”

To książka soczysta, pełna anegdot i dykteryjek, ale też sporej ilości faktów, tak ważnych dla nas i naszej najnowszej historii. Faktów nie tylko tych z pierwszych stron gazet, ale także tych małych, nieznanych, ale tamte tak świetnie uzupełniających. Dodających im kolorytów i smaczków, ożywiających bohaterów z żelaza, styropianu, marmuru czy tylko komunistycznego kartonu ów marmur udającego. Głowacki chciał napisać scenariusz do filmu Wajdy tak, jak pisze swoje książki, sztuki teatralne czy scenariusze; bez zadęcia ultrapatriotycznego, bez spizu i laurek, bez wystawiania pomników. Chciał pokazać Człowieka z Nadziei jako niezwykłą osobowość w ciele zwykłego, prostego robotnika, który naprawdę zmienił

bieg historii, który „postawił się” – świadomie czy nie, to nie takie ważne; ważne, że ryzykując wszystkim, również własnym życiem – wielkiej machinie zwanej komunizmem. Postawił się i – w przeciwieństwie do zdecydowanej większości naszych, czczonych powszechnie, narodowych bohaterów...wygrał! Nie będę posuwał się aż tak daleko, by twierdzić, że to właśnie dlatego ma dzisiaj tak wielu wrogów.

Nie widziałem filmu, więc nie wiem, czy Andrzej Wajda pokazał nam właśnie takiego Lecha Wałęsę, jaki wyłania się z kart tej opowieści (między wierszami, a nawet nie tylko, można wyczytać, że raczej nie do końca i że wizja (współ) scenarzysty i reżysera się trochę rozchodziły w trakcie powstawania filmu). Bo Lech W. ma tyle twarzy, ilu ludzi o nim opowiada, a w scenariuszu Głowackiego jest przede wszystkim człowiekiem z krwi i kości, trochę Kmicicem, trochę chłopkiem-roztropkiem, trochę przez przypadek wyniesionym na karty historii, ale przecież właśnie przez to jego niewątpliwe bohaterstwo staje się czymś niezwykłym, a jego sylwetka jakże w swojej „zwykłości” nieproporcjonalna do potęgi, której obalenia stał się, jeśli nie główną przyczyną, to przecież niewątpliwie symbolem i twarzą.

W tej książce pełno jest oczywiście postaci samego, widzianego z bliska Wałęsy, ale jest to opowieść o naszej historii ostatnich czterdziestu paru burzliwych lat, od grudnia 70 roku aż po katastrofę smoleńską, które zmieniły nasz Kraj, ale i całą Europę, w sposób niewyobrażalny. Opowieść napisana tak, jak chyba tylko Janusz Głowacki mógł ją napisać.

Na tylnej okładce książki wydawca napisał: „Czarny humor miesza się w tej opowieści z czarną rzeczywistością, tragedia z groteską, prawda z fikcją, a PRL z wolną Polską. Mieszanka piorunująca. Warto porównać z filmem”. Myślę, że może faktycznie warto. Bo chociaż właśnie dzisiaj nadeszła wiadomość, że film Wajdy nie zdobył żadnego z „polskich Oskarów”, czyli Orła, to jest to tylko dodatkowy bodziec do takiego porównania. A Robert Więckiewicz w roli Lecha W. jest ponoć lepszy od samego Wałęsy.

Bo nawet, jeśli okaże się, że Mistrz Wajda tym razem zawiódł, to z książki Mistrza Głowackiego możemy się dowiedzieć, jaki ten film mógł być. Nie wiem, czy lepszy, czy gorszy. O tym poinformuję w kolejnym numerze Kwartalnika. Na razie zachęcam do lektury.

GIENEK BRZEZIŃSKI

Obietnica wielu początków



AGNIESZKA STEUR

To już któraś wiosna. Któres z kolei kwitnące kwiaty i wykluwające się pisklęta. „Któraś” mogłoby sugerować, że mniej ważna, że się już przyzwyczało, że to nic nowego. Jednak nie, każda zachwyca, zadziwia, zaskakuje. Nigdy nie ma się dość, bo jak można mieć dość wysuwających się z ziemi krokusów, pogodnych poranków i coraz cieplejszych promieni słońca na twarzy. Równie któreś z kolei urodziny, bo kalendarz trzepocze kartkami. A ja się cieszę i podziwiam. Należy, jak uważam, pozaglądać do szaf i szuflad. Szansa... to znaczy raczej okazja, przez duże „O” na nową bluzkę, na nowe buty a może nawet torebkę. Inspiracji do wiosennych porządków i zmian teraz nie brak.

Gdy nadchodzi ta pora roku, wszystko wydaje się łatwiejsze. Przecież to, co dzieje się wokół, dzieje się samo z siebie. Bez stresu i nerwów, że nie zdąży się, że się nie uda. Wiosna się nie zastanawia, nie waha, nawet na chwilę, po prostu nadchodzi i jest, czasem jeszcze na chwilę ustępuje miejsca zimie, ale to tylko moment. Kwiaty, bez prób generalnych rozkwitają i za każdym razem z kolorową impresją pokazują swe dumne twarze. Ptaki na dachu przypupują i zamiast denerwować, wprawiają teraz w dobry nastrój. Jest zielono, żółto i jeszcze niebiesko.

Pogodzeni ze śmiercią i zimnem czekamy na wiosnę, ponieważ wiosną rządzi miłość. Tylko ludziom nieparzystym jest teraz trudniej, bo wszystko wydaje się być do pary.

Gdybym pisała wiersze teraz powstałoby ich najwięcej. Serce niczym bateria słoneczna wreszcie się doładowuje. Nagle wszystkiego jakby znacznie więcej, niż jeszcze wczoraj.

Każda pora roku jest piękna. To cliché, ale przecież tak właśnie jest. Każdą można lubić trochę więcej lub trochę mniej, ale odmówić piękna wszystkim czterem niezwykle trudno. Jednak żadna nie przynosi ze sobą tak wielu obietnic, jak wiosna.

Czasem wydaje mi się, że rok właśnie teraz powinien się zaczynać. Czy nie byłoby lepiej

noworoczne postanowienia składać teraz, razem z kwitnącymi krokusami? Tak, jakby przyroda dawała gwarancję, że te obietnice się spełnią, bo kwiaty kwitną i wcale nie sprawia im to trudności, więc i my możemy zakwitnąć... znów. Ptaki bez budzika o czasie śpiewają. Rośliny ożywają, nasycają się barwami. Czas, by się odrodzić, by znów uwierzyć, że potrafiemy, że przed nami wielu w to uwierzyło i teraz my też możemy. Początek wszystkiego i już kolejny i wiadomo, że będzie następny.

Przyglądam się mojej córce, która skrada się do krzaka obsypanego żółtym kwiatem, na jednym z nich przysiadł motyl. Ja wyjmuję zakupy z bagażnika i myślę, że nigdy jej się nie uda. Komu udaje się w dłonie schwytać motyla?



Komu? Właśnie dziecku. Dziewczynka delikatnie rozchyła palce, owad znów odlatuje i mogłabym przysiąc, że słyszę szelest jego skrzydeł, łopot ciszy, łopot kolorów.

Wiosna to także dzień sportu w szkole dzieci. Dowiedziałam się, że uczniowie muszą przyjść w sportowych strojach, reszty nie sprecyzowano. Prosiłam, aby wieczorem młodzieży przygotowali wszystko, aby rano nie przeszukiwać szafek. Rankiem odkryłam, że na krzesła syna leżą spodenki i przykrótka koszulka. Besztam go zawzięcie, bo przecież są tylko 4 stopnie w plusie. Na halę sportową musimy dojechać rowerami. Pokrzykuję, że o tej porze roku nikt się tak nie ubiera. Zakładamy jeszcze czapki i rękawiczki – jedziemy. Gdy jesteśmy już blisko, widzę ze wszystkich stron zjeżdżające się dzieci. Ku mojemu zaskoczeniu kilkoro w krótkich spodenkach. I jak ja mam do czegoś przekonywać dzieci? My na rowerach jeszcze w czapkach, a inni już rozebrani. To oznaka wiosny w Holandii.

Zbliża się Wielkanoc. Święto nadziei i odrodzenia. W Holandii obchodzone mniej uroczystości niż w Polsce, ale to nic, ja zrobię je po swojemu, po polsku. Z lekką domieszką Holandii,

bo przecież inaczej być nie może. Niewielu wie, dlaczego zając nosi ze sobą czekoladowe jajka.

Wiosna to obietnica kolejnej szansy, obietnica zmiany. Nowe początki, kontynuacja tego, co było, ale inaczej, bo od nowa. Kwitną kwiaty, kobiety, policzki. Zrzucamy kurtki i szaliki. Wiosna jest niczym dzieciństwo, od teraz wszystko jest możliwe, wszystko się może zdarzyć. Jeszcze chwilę i zakwitną magnolie, które zawsze będą kojarzyć mi się z nowym życiem. Płatki kwiatów znów zaskakują na drzewach, bo jeszcze bez liści. Coś z wyraźnym początkiem, a końcem jakby trochę niedostrzegalnym, bo potem lato nadchodzi płynniej.

Mówią, że każdy początek jest trudny, ale z pewnością nie ten, ten jest sam z siebie.

To wiadomość od wiosny. Może lepiej powiedzieć: na dobry początek. Znow Persefona powróciła do matki.

Dla mnie wiosna w tym roku zyskała jeszcze jedno znaczenie, jeszcze jedną obietnicę. Gdy w ogrodzie zakwitły krokusy, do wydawnictwa wyruszyła moja kolejna książka, druga część „Wojny w Jangblijzi”. To dalsza opowieść, ale kolejny początek. Czekam na ilustracje, czekam na korektę. Czekam... Chwilę przed wakacjami będzie miała miejsce jej premiera. Tegoroczna wiosna miesza mój strach, obawy, nadzieję, ekscytację oraz powoli kielkującą radość, cieszę się, bo moja powieść to uwiecznienie ponadrocznej pracy.

Biały przebiśnieg nadchodzi pierwszy i zawsze pochyla głowę. On jeden tylko wie, co przyniosą kolejne dni, ale i tak będzie biało milczał. Wszędzie wiosna... tylko ta pani w telewizorze, psując zamysł mego tekstu, straszy, że za tydzień wróci zima. Ale co tam.

AS

Pejzaż wiosenny – impresja

szukam słońca
zarazem chłodu
w światłocieniu gałązek
drobnych pączków
pierwszych krokusów
nieśmiałych kolorów wiosny
zabłąkanych gwiazdek śnieżnych
które topnieją w oczach porannych
ptaków

Agnieszka Sadlakowska
Amsterdam

„Holenderska literatura zasługuje na Nobla!”



ŁUKASZ KOTERBA
JOEP HARMSEN

Kiedy zaczynała karierę, Nixon i Breżniew byli jeszcze u władzy, Sto lat samotności dopiero co się ukazało, a Arnon Grunberg miał dwa lata i nie przeżywał jeszcze kryzysu tożsamości. W pięknej kamienicy przy Prinsengracht w Amsterdamie czeka na nas Elsbeth Etty, jedna z najbardziej wpływowych holenderskich recenzentek literackich.

Kto zna holenderski krajobraz literacki lepiej niż recenzentka, która od kilku dekad śledzi wydarzenia na tym polu? Poznała kilka pokoleń pisarzy, a jako dziennikarka dodatku Książki w renomowanym dzienniku NRC Handelsblad od lat czyta (prawie) wszystko, co opublikowano w języku niderlandzkim i warte jest krytycznej lektury.

Na stoliku w kuchni leżą stosy nowych książek. Świetnie, ale może kiedyś było wszystko lepiej? – pytamy.

– Nie, poziom w ostatnich dwudziestu latach się nie obniżył – odpowiada Etty. – Kiedy przygotowywałam się do dyskusji o Wielkiej Trójce XX-wiecznej literatury niderlandzkiej [Mulisch, Hermans, Reve – Ł.K.] zorganizowanej w Amsterdamie m.in. przez NRC, zdałam sobie sprawę, że poziom literacki od czasów Wielkiej Trójki wcale się nie pogorszył. Ostatnio czytałam ponownie Wolkersa, którego właściwie też powinno się do tej grupy zaliczyć, i chwilami byłam przerażona jego stylem. Zdarza mi się to też w przypadku Hermansa. Obecny poziom jest całkiem dobry. Uważam, że na przykład Herman Koch, o którym mówi się czasem w dosyć lekceważącym tonie, pisze dobre książki – pod względem stylu, zawartości i tematyki. Fakt, że powieść łatwo się czyta, nie jest według mnie dyskwalifikujący.

Nobel dla Grunberga?

Ponieważ jeden z nas jest z Polski, skąd pochodzi czworo zdobywców Nagrody Nobla z dziedziny literatury, jesteśmy ciekawi, dlaczego jeszcze nigdy nie uhonorowano tą nagrodą niderlandzkojęzycznego pisarza. Etty odpowiada, że nie czyta w myślach członków komitetu noblowskiego, ale ma teorię, która to wyjaśnia.

– Liczą się nie tylko walory literackie, ale i motywy polityczne. Komitet Noblowski ma swoje własne kryteria, takie jak poprawność polityczna, najlepiej lewicowo zorientowani pisarze, wybrane kraje czy autorzy, którzy reprezentują sobą coś większego, jak na przykład Nadine Gordimer będąca symbolem ruchu białych przeciwników apartheidu. Mam wrażenie, że oni czasem myślą, że teraz przyszła kolej na ten czy inny kraj, na ten czy inny obszar językowy. Nie jest zatem tak, że Holandia nie wydała na świat żadnych pisarzy, zasługujących na Nobla.

Który zatem holenderski pisarz powinien dostać Nagrodę Nobla z literatury?

– W tej chwili największymi holenderskimi pisarzami są A.F.Th. van der Heijden i Arnon Grunberg. Może oni [Komitet Noblowski] uważają, że Grunberg jest za młody, ale dla mnie to żadne kryterium. Grunberg podejmuje uniwersalne tematy, akcja jego książek nie dzieje się tylko w Volendam czy czymś podobnym.

Także wśród pisarzy, którzy opublikowali mniej książek niż Grunberg i van der Heijden Etty widzi wiele talentów, które w przyszłości staną się może Nową Wielką Trójką. Recenzentka NRC wymienia kilka nazwisk: Jamal Ouarachi, Saskia de Coster czy Hanna Bervoets.

Reportaż literacki: chętnie, ale...

W ostatnich latach publikuje się w Holandii coraz więcej literatury faktu. Nawet wielu powieściopisarzy przekonuje, że treść ich książek oparta jest o rzeczywiste wydarzenia. Co Etty o tym myśli?

– Bardzo lubię literaturę faktu, nie lubię jednak tego hybrydowego gatunku, na przykład książki Het zusje van de bruid Jorisa van Casterena. To historia, która się wydarzyła, a z której on robi tak zwaną powieść. Imiona i nazwiska są zmienione, ale można rozpoznać kto jest kim – mówi Etty.

– Literatura faktu ma swoje reguły, fakty muszą się mianowicie zgadzać. Jeśli pisze się powieść, można zlekceważyć fakty i stworzyć własny świat. Uwielbiam literaturę faktu, ale literatura faktu oznacza dla mnie, że opisywane wydarzenia muszą być prawdziwe, a autor posługuje się środkami literackimi. Przejawia się to w stylu i np. w użyciu metafor. Fakty muszą być jednak kontrolowalne. Autor reportażu literackiego, na przykład Geert Mak, który napisał książkę o Stanach Zjednoczonych, nie może zatem napisać, że był gdzieś i widział umierającą kobietę, jeśli



Elsbeth Etty

fol. pisarzemowia.nl

nie jest w stanie poprzeć tego dowodami. Literatura faktu rządzi się innymi zasadami niż literatura bez dodatku „faktu”.

Książka Het zusje van de bruid van Casterena Etty się zatem nie spodobała (według van Casterena przyczyna tej niechęci była inna, niż rzekome mijanie się z faktami, które Etty mu zarzuca – ale na razie to zostawmy). O innych holenderskich reportażach literackich Etty ma o wiele lepsze zdanie.

– De Vergelding Jana Brokkena [w poprzednim wydaniu Sceny Polskiej ukazało się polskie tłumaczenie Łukasza Koterby reportażu Cenzura Jana Brokkena] uważam za bardzo dobry przykład udanego reportażu literackiego. Książka opowiada o wydarzeniach z okresu drugiej wojny światowej w jednej konkretnej wiosce (Rhoon). Przy takiej okazji można by puścić wodze fantazji lub napisać historię typu „co by było gdyby”, ale Brokken przeprowadził gruntowne śledztwo dziennikarskie i zgromadził wiele materiałów. Jedynie spisał je używając środków literackich. Brokken to po prostu dobry pisarz, ale jego książka to nie fikcja.

Innym przykładem książki, która znajduje się na granicy fikcji i prawdziwej historii jest nowa książka Oeka de Jonga, Pier en ocean.

– To autobiograficzna książka, ale de Jong część faktów pominał, a inne fakty przerobił w fikcję. W wywiadzie opowiedział mi, że nawet przeprowadził wywiady ze swoimi rodzicami i skorzystał z nich w trakcie pisania książki. Zrobił z tego jednak własną opowieść. „Skłamał rzeczywistość”, tak by to można ująć, ale to przecież powieść. Różnicą jest zatem to, że w przypadku fikcji ma się taką wolność, a w przypadku reportażu wolności takiej się nie ma.

Literatura z telewizora i koniec papierowej recenzji

„Prawdziwa historia”, na to hasło natrafimy nawet w materiałach promujących powieści. Dlaczego mielibyśmy czytać wymyślone opowiadania, skoro do wyboru mamy tyle „prawdziwych opowieści”? Czy Etty także w hasło „prawdziwa historia” widzi łatwą receptę na komercyjny sukces?

– Jeśli dotyczy to znanych osób, to faktycznie tak to wygląda. Jeśli na przykład ktoś sławny opíše, jak zamordował swoją matkę, wtedy nawet jeśli będzie to kiepsko napisane, ludzie i tak pobiegną do księgarni po tę książkę. Z drugiej strony uważam, że wielka literatura mimo wszystko jest zrozumiała i dostępna dla każdego. Jest ponadczasowa – w przeciwieństwie do sensacyjnej, nieskładnej autobiografii jakiejś sławy, o której po kilku tygodniach nikt nie pamięta. Wielkie dzieła, takie jak np. Wojna i pokój Tołstoja – w których „prawdziwe historie” również się pojawiają, ale opisane z perspektywy artysty – wyrastają ponad aktualną rzeczywistość.

Etty jest bardzo krytyczna wobec książek, które próbuje się sprzedać epatując sensacją, ekshibicjonizmem czy ładunkiem autobiograficznym pozbawionym wyraźnej artystycznej funkcji.

– Uważam I.M. Connie Palmen za dobry przykład powieści, którą specje od marketingu sprofilowali jako „prawdziwą historię”, a która utraci tę wartość dodaną (którą mimo wszystko miała w okresie tuż po śmierci Ischy Meijera), kiedy już wszyscy o nim, a być może i o Connie Palmen, zapomną.

Powstaje nowa forma krytyki

Etty nie ma złudzeń co do ograniczonego wpływu, jaki mają dziś recenzenci. – Wielu ludzi w ogóle nie czyta recenzji w poważnych gazetach. Jeśli jednak pisarz pojawi się w DWDD [wieczorny talk-show w holenderskiej telewizji publicznej], wtedy jego książka może liczyć na dobrą sprzedaż.

Czy fakt, że występy w telewizji mają większy wpływ na sukces książki niż recenzje, nie jest dla krytyka frustrujący?

– To po prostu rzeczywistość i wydaje mi się, że będzie już tylko gorzej. Na całym świecie z gazet i tygodników znikają dodatki literackie i strony o literaturze. Będzie tego coraz mniej i mniej – mówi recenzentka NRC.

Znaczenie papierowej gazety maleje, ale Etty uważa, że na naszych oczach powstaje nowa forma krytyki, w Internecie.

– Ona będzie bardziej specjalistyczna. Ludzie, którzy naprawdę są zainteresowani literaturą będą sobie udzielać porad i kto wie, co jeszcze pięknego z tego wyniknie. Powstaną klubiki, które będą się zajmować analizowaniem i interpretacją literatury, czy nawet robieniem filmów na ten temat. Dziś mamy do dyspozycji tak wiele innych, nowych środków, by zainteresować ludzi literaturą. Uważam, że krytyka literacka, jaką znamy dziś z gazet i czasopism, jest gatunkiem na wygnięciu.

W jej miejsce pojawi się nowa forma krytyki, uważa. Jaka? Czas pokaże.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ KOTERBA I JOEP HARMSSEN, TŁUM. ŁUKASZ KOTERBA

Całość wywiadu, w dwóch częściach na stronie pisarzemowia.nl (dział wywiady)

ŁUKASZ KOTERBA (1984) – dziennikarz i tłumacz (koterba.nl), mieszka w Amsterdamie, prowadzi strony promujące lit. niderlandzkojęzyczną w Polsce (pisarzemowia.nl) i lit. polską w Holandii (poolseliteratuur.nl).

JOEP HARMSSEN (1993) – recenzent oraz student literaturoznawstwa i filologii hiszpańskiej (Universiteit van Amsterdam), pochodzi z Rekken, mieszka w Amsterdamie.

Pisarzemowia.nl, czyli o literaturze niderlandzkiej po polsku!

Pisarzemowia.nl to polska strona o literaturze niderlandzkojęzycznej: prozie, poezji i literaturze faktu. Wszystkich chętnych, chcących pisać po polsku o literaturze niderlandzkiej, zachęcamy do współpracy!

Na stronie ukazują się recenzje, sylwetki pisarzy i poetów, wiadomości literackie, informacje o nowościach wydawniczych, felietony, relacje z wydarzeń o charakterze literackim (targi, spotkania autorskie, debaty) oraz wywiady z holenderskimi i flamandzkimi autorami.

Celem strony jest promocja współczesnej literatury niderlandzkojęzycznej w Polsce – u czytelników, recenzentów i wydawców. Dlatego na stronie publikowane są również tłumaczenia opowiadań, reportaży, fragmentów powieści oraz poezji z niderlandzkiego na polski.

Chcemy regularnie informować polskich wydawców i czytelników o tym, co dzieje się w literaturze niderlandzkiej i flamandzkiej. W ten sposób mamy nadzieję zwiększyć wiedzę w Polsce na temat literatury niderlandzkojęzycznej i zachęcić wydawców do częstszego tłumaczenia holenderskich i flamandzkich książek na polski. Zaś krytyków – do ich recenzowania, a czytelników – do ich kupowania i czytania.

Pomysłodawcą strony pisarzemowia.nl i autorem większości tekstów jest Łukasz Koterba, polski dziennikarz, niderlandysta i tłumacz, mieszkający od 2009 roku w Amsterdamie.

Oprócz pisarzemowia.nl jest też niderlandzkojęzyczna strona o literaturze polskiej poolseliteratuur.nl. Lubisz pisać po niderlandzku o polskiej literaturze? Również zapraszamy do współpracy!

KONTAKT:

- E-mail: pisarzemowia.nl@gmail.com
LUB lkoterba@gmail.com
- Facebook: <http://www.facebook.com/pisarzemowia.nl>

Bilet do kina

Polskie kino pokonało długą drogę przez ostatnie 25 lat. Polska Wiosna Filmowa w 2014 roku prezentuje na doskonale wybranych przykładach najważniejsze trendy współczesnego polskiego kina.



ANNA WRÓBLEWSKA

Po upadku komunizmu polskie kino długo szukało swojego miejsca, tematu i mozolnie starało się odbudować więź z widzami. W latach 90. publiczność spragniona zachodniego repertuaru odwróciła się od polskiego kina. Ale o nim nie zapomniła, gdyż nadal rodzime filmy należały do najchętniej oglądanych w kanałach telewizyjnych.

Zapaść w finansowaniu kultury na początku nowego stulecia z jednej strony spowodowała zmniejszenie liczby produkowanych filmów i przyczyniła się do pogorszenia ich jakości, z drugiej zaś strony była czynnikiem, który wyzwolił rozwój filmu offowego, niezależnego i co za tym idzie – modę na młode polskie kino, która utrzymała się do dzisiaj. Przełomem okazało się uchwalenie w 2005 roku Ustawy o kinematografii, założenie Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i stworzenie stabilnego systemu finansowania filmu.

W szybkim czasie system ten doprowadził do stabilizacji polskiej produkcji filmowej na poziomie około 40 filmów fabularnych rocznie. Co istotne, bardzo szybko ten pozytywny klimat wokół kina rodzimego przełożył się na wzrost zainteresowania widzów kinowych własną produkcją. Mało kto wie, że Polska należy do krajów europejskich z największym udziałem produkcji własnej w rocznych wpływach z kin. Bywa, że rodzime filmy zbierają 25-30 proc. ogólnej widowni, co w czasach niezłomnego dyktatu Hollywood jest sporym osiągnięciem. W chwili, kiedy piszę ten tekst, czyli w połowie marca wiadomo już, że polskie filmy obejrzało w kinach w tym roku 3 mln widzów, a w pierwszej dziesiątce najbardziej popularnych tytułów tego roku są jak na razie cztery polskie filmy.

Program tegorocznego przeglądu polskich filmów w ładny, atrakcyjny sposób wpisuje się we współczesny polski krajobraz filmowy. Wszystkie badania opinii publicznej mówią jednoznacznie – Polacy kochają komedie! Jak chyba wszystkie narody... Tym razem widzowie obejrzą filmy dwóch klasyków kina gatun-

kowego – „AmbaSSadę” Juliusza Machulskiego oraz „Bilet na Księżyc” Jacka Bromskiego. Film Machulskiego, podobnie jak w „Seksmisji” i „Kingsajzie” za pomocą pastiszu i dowcipu rozprawia się z ciemnymi stronami historii XX wieku. „Bilet na Księżyc” zapewne spodoba się i Polakom – dla wielu z nich będzie to powrót w krainę młodości – ale przypadnie także do gustu Holendrom. Film sugestywnie obrazuje sytuację młodych ludzi w Polsce komunistycznej lat 60. i tłumaczy powody ich trudnych wyborów życiowych – np. emigracji.

Nurt autorski reprezentują dwa głośne tytuły: „Dziewczyna z szafy” Bodo Koxa i „Chce się żyć” Macieja Pieprzycy. Trzeci film Pieprzycy odniósł spektakularny sukces, wygrywając prestiżowy festiwal w Montrealu. Reżyserowi jako pierwszemu udało się podbić polską widownię filmem, którego bohaterem jest niepełnosprawny. Pokazał, że o trudnych sprawach można mówić w sposób atrakcyjny i jasny. Temat choroby, zamknięcia, wyobcowania porusza także Bodo Kox, bardzo interesujący twórca, który wywodzi się z nurtu kina niezależnego. Już jako uznany twórca of-



„128. Szczur”

fol. Piotr Chodyła



„AmbaSSada”

fol. Piotr Bujnowicz, Marta Piskorek



„Bilet na księżyc”

fol. SFZebra



„Chce się żyć”

fol. Filmweb.pl

fowy, Bodo zdał do Łódzkiej Szkoły Filmowej, a „Dziewczyna...” jest jego debiutem profesjonalnym. W marcu 2014 reżyser został uznany przez Polską Akademię Filmową za „Odkrycie roku”. Jednym z jego przyszłych pomysłów realizacyjnych jest adaptacja... „Dziadów” Adama Mickiewicza.

„Gabriel” Mikołaja Haremskiego reprezentuje rzadki w polskim kinie nurt dziecięco-młodzieżowy. Ta piękna opowieść dla całej rodziny wyciska łzy wzruszenia widzom niezależnie od ich wieku. Wielkim atutem filmu są niezwykle, mało ograne i unikatowe pejzaże województwa Świętokrzyskiego, którego samorząd wsparł produkcję filmu.

Bardzo cieszę się, że Zosia Schrotten-Czernejewicz zaprosiła na otwarcie festiwalu młode kino, powstające w ramach programu 30 minut w Studiu Munka działającym w Stowarzyszeniu Filmowców Polskich. Program istnieje od 2005 roku, co roku wydaje z siebie blisko 10 udanych filmów trzydziestominutowych, z których część odniosła wspaniałe sukcesy. Na czele z „Mazurekiem” Julii Kolberger, córki zmarłego kilka lat temu wspaniałego aktora Krzysztofa Kolbergera i aktorki Anny Romantowskiej. Zdziwicie się Państwo, w jak dojrzały sposób można opowiadać językiem filmu o życiu, miłości, rodzinie. Bardzo a propos wielkanocnej aury przeglądu! „128. szczur” Jakuba Pączka to przewrotna, gorzka i zabawna jednocześnie opowieść o współczesnej polskiej młodzieży. I wreszcie pełne szaleństwo – „Jak głęboki jest ocean” Filipa Syczyńskiego, odważ-



Reżyser Julia Kolberger - gość festiwalu

ny, niepokorny, jeden z nielicznych w Polsce filmowych eksperymentów, mnie osobiście kojarzący się z kinem Wojciecha Jerzego Hasa.

To będzie dobra, twórcza Wiosna Filmowa. Warto w tej wiosennej aurze odwiedzić kilka razy kino, by przekonać się, jak ciekawe i zróżnicowane oblicze ma współczesny polski film.

DR ANNA WRÓBLEWSKA



„Mazurek”

fot. Studio Munka



„Gabriel”

fot. Anima-Pol Film Studio



„Dziewczyna z szafy”

fot. WFDiF



„Jak głęboki jest ocean”

fot. Studio Munka



6. Polska Wiosna Filmowa – 2014 6e Poolse Filmlente

**11-13 kwiecień
– Wolff City UTRECHT**

Voorstraat 89, 3512 AL Utrecht, www.wolff.nl

(wersja polska, napisy w języku angielskim)

PROGRAM:

piątek 11.04

20:00 „Jak głęboki jest ocean” (2013 r.), 30'
reż. Filip Syczyński, „**128. Szczur**” (2013 r.), 30'
reż. Jakub Pączek, „**Mazurek**” (2013 r.), 30'
reż. Julia Kolberger (**gość festiwalu**)

sobota 12.04

18:30 „Dziewczyna z szafy” (2012 r.), 90'
reż. Bodo Kox
21:00 „Bilet na księżyc” (2013 r.), 120'
reż. Jacek Bromski

niedziela 13.04

16:00 „Gabriel” (2013 r.), 90',
reż. Mikołaj Hamerski (**dla młodzieży**)
18:30 „Chce się żyć” (2013 r.), 107',
reż. Maciej Pieprzyca
21:00 „AmbaSSada” (2013 r.), 100',
reż. Juliusz Machulski

zapraszamy również:

w środę 16 kwietnia o godz. **22:00**
do Melkweg Cinema w Amsterdamie
(www.melkweg.nl)
na pokaz filmu „**Żywie Bietaruś!**” (2013 r.),
98', reż. Krzysztof Łukaszewicz

**Rezerwacja i sprzedaż biletów w kinach
(również online)**

Informacje: Pools Podium
poolspodium@gmail.com, tel. 030-2718296
www.poolspodium.org

50 lat Akademickiego Klubu Seniora

„Wystawę poświęcamy wszystkim Koleżankom i Kolegom, studentom wszystkich Uczelni Poznania, którzy kiedykolwiek otarli się o fantastyczną, piękną i mądrą, nieistniejącą już dzisiaj organizację studencką, jaką było Zrzeszenie Studentów Polskich. To właśnie dzięki działalności w Zrzeszeniu powstał oraz trwa do dzisiaj Akademicki Klub Seniora w Poznaniu i obchodzi swoje 50-te urodziny”

ANDRZEJ JACEK KOWALSKI

Zacni Goście z przynależnymi tytułami, godnościami i zajmowanymi stanowiskami,

Bliscy memu sercu, Drodzy Koleżanki i Koledzy, członkowie naszego klubu, Cześć Starzy.

Witam Państwa bardzo serdecznie, gorąco i po koleżeńsku.

Dzisiejsze spotkanie jest kolejnym, piątym już spotkaniem w ramach imprez organizowanych w Jubileuszowym Roku Akademickim, Akademickiego Klubu Seniora.

Do tej pory w imprezach jubileuszowych uczestniczyło około 600 osób.

Jubileusz trwa.

Otwieramy wystawę ukazującą naszą historię i działania na przestrzeni 50 lat działalności Klubu.

Wystawa pokazuje dorobek klubu, a zarazem co klub robił i co pozostanie po nim i po nas klubowiczach, jak przyjdzie nam ustąpić miejsca innym.

Centralnym eksponatem wystawy jest naturalnej wielkości model pomnika grzyba.

Został on odsłonięty w pierwszych sekundach XXI wieku i stoi na punkcie widokowym koło Łęczeczek w gminie Chrzypsko Wielkie w woj. Wielkopolskim. Stanowi on dzisiaj wielką atrakcją turystyczną gminy, jest często odwiedzany przez turystów, a zdjęcia



Przezes Andrzej Jacek Kowalski otwiera wystawę w Poznaniu w towarzystwie Andrzeja Wituskiego oraz Wojciecha Jankowiaka

fot. Paweł Wieczorek

jego są publikowane w wielu materiałach krajoznawczych. Jak wszyscy pamiętają, grzyb z liczbą 63 na trzonie jest symbolem klubu.

Zasadniczą część wystawy stanowią plansze, których jest 20, oraz gabloty w liczbie 8 sztuk.

Wystawa posiada około 400 eksponatów. Na planszach pokazujemy plakat jubileuszowy 50-lecia klubu projektu pana Ignacego Grzędy, plakat-tableau projektu pana Grzegorza Marszałka oraz historyczne zdjęcia autorstwa p. Jerzego Nowakowskiego.

Wielki rozgłos w Poznaniu i nie tylko przyniosły klubowi swego czasu Akademickie Bale Seniora. Dwie plansze ukazują te niesamowite wieczory karnawałowe, których do tej pory zorganizowaliśmy 46, a na które w ubiegłych latach często nie można było nabyć zaproszeń z powodu nadmiaru chętnych. Największe bale gromadziły ponad 600 osób.

Klub czynnie uczestniczył w odbudowie pierwszego na ziemiach Polski Zamku Królewskiego w Poznaniu.

Jesteśmy miłośnikami przyrody i wolnego czasu. Te wspaniałe nasze wyjazdy poza Poznań, grzybobrania i majówki to chyba nasza najstarsza tradycja.

Jest nam ze sobą dobrze i chętnie ze sobą przebywamy. Potwierdzenie tej tezy pokazujemy na tablicach, gdzie przedstawiamy nasze liczne wspólne wyjazdy wakacyjne. Zwiedziliśmy prawie całą Polskę. Byliśmy w wielu krajach... (w Holandii dopiero teraz! przyp. redakcji).

(fragmenty wystąpienia na otwarciu Wystawy 19 lutego w Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu)

AJK



AKS w Holandii

W dniach 27 marca – 2 kwietnia br., sympatyczna grupa z Akademickiego Klubu Seniora z Poznania, po raz pierwszy zawitała do Holandii! Przywieźli ze sobą z drukarni, jak świeże bułki, ten wiosenny numer „Sceny Polskiej”. Dziękujemy za pomoc!

Scena Polska w Holandii zawsze może liczyć na pomoc AKS-u, a zwłaszcza prezesa Andrzeja Jacka Kowalskiego i jego małżonki Oli. Gdy reżyser Tomasz Szymański, również z AKS-u, kończył przygotowania, z grupą naszej młodzieży ze Sceny Młodych, do wystawienia „Juwenilii” Stanisława Witkacego, prezes Kowalski przywiózł na premierę autobus pełen widzów! Było to w roku 1999 w Nowej Róży pod Poznaniem. Gdy w 2004 roku, nasz dom w lesie, gdzie odbywały się coroczne warsztaty Sceny Młodych zniszczył pożar, jako pierwsi koleżanki i koledzy z AKS-u pośpieszyli ze zbórką rzeczy i sprzętu. W ub. roku gościli w Nowej Róży, obecnie też siedzibie fundacji „hOlandry”, dwukrotnie: na zakończeniu sezonu i na grzybobranii. Całkowitym zaskoczeniem była paczka, jaką przyniósł nam listonosz w Utrechcie 28 września 2012 roku. Było to dzień przed Galą Jubileuszową 20-lecia Sceny Polskiej w Holandii. Było w niej kilkaset okolicznościowych znaczków, dla wszystkich uczestników naszego Jubileuszu!



Można wymieniać jeszcze wiele dowodów naszej wzajemnej sympatii i współpracy, mam nadzieję, że sympatyczna grupa z AKS-u, która bawi w Holandii na początku wiosny, spotka się podczas swojego tutaj pobytu z gorącym przyjęciem mieszkańców kraju tulipanów. Może spotkają ich Państwo podczas zwiedzania Keukenhof, Madurodamu, Scheveningen czy Amsterdamu. Znak rozpoznawczy: uśmiechnięte twarze, przyjazne spojrzenia i wiara w to, że: **MŁODOŚĆ PRZYCHODZI Z WIEKIEM.**

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
REDAKTOR NACZELNA „SCENY POLSKIEJ”
CZŁONKINI AKADEMICKIEGO
KLUBU SENIORA Z POZNANIA

Tulipany

Tulipan jest charakterystyczną ikoną Holandii na całym świecie. Tematem głównym wystawy kwiatowej w Keukenhof, trwającej od 20 marca do 18 maja, jest w tym roku, właśnie tulipan i nikt inny tego zrobić lepiej nie może. Znajdują się tam miliony tulipanów kwitnących w parku i ponad sto tysięcy w pawilonie Willem-Alexandra. Keukenhof to najlepsze miejsce, aby poznać tulipany.

Tulipan przybył do Holandii z bardzo daleka. Tulipany można było znaleźć pierwotnie w górskim rejonie Tian Shan w północno-zachodniej części Himalajów. Dziesiątki różnych typów, we wszystkich rodzajach kolorów, wciąż rosną tam każdej wiosny. W XI wieku trafiły do Turcji, gdzie kwiat ceniony jest do dzisiaj. Najbardziej niezwykle tulipany zostały zilustrowane w pięknych książkach. Tulipany są również przedstawiane na płytkach i przedmiotach gospodarstwa domowego. W 16 wieku, kiedy rozkwitał holenderski handel z Konstantynopolem tulipan był jeszcze nieznanym kwiatem dla Holendrów. Pierwsze przykłady kwitnienia udało się uzyskać cebulek tulipanów w 1560 roku w Antwerpii i Mechelen. Do Holandii sprowadził pierwszego tulipana w 1595 roku znany botanik Carolus Clusius.

Holandia jest największym na świecie producentem cebulek tulipanów. Uprawia się je na powierzchni 10.000 ha zapewnia-



jąc rocznie zbiór 4,2 mld sztuk. Około połowa z nich jest eksportowana, reszta zostaje w Holandii, przeznaczona głównie na hodowlę kwiatów ciętych. W handlu znajduje się prawie 2000 różnych odmian tulipanów. Każdego roku dochodzi około 100 nowych odmian. Dlatego tulipan kojarzy się w świecie z Holandią. Warto przyjechać wiosną do Keukenhof w Lisse tej wiosny i zobaczyć na własne oczy tulipanowy raj.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
(ŹRÓDŁO: WWW.KEUKENHOF.NL)



Zima odwołana, poszła za Ural



MAREK GRĄDZKI

No to się nam ciekawie porobiło. Już z lekka przysnęliśmy, wydało się, że żyjemy w bezpiecznym i przyjaznym świecie, przynajmniej my, Europejczycy. Tymczasem obudziły nas strzały snajperów. Okazało się, że można w naszej rzeczywistości walić do ludzi jak do kaczek, mierzyć prosto w głowę lub szyję, więc nie po to, by wyeliminować z walki, ale żeby zabić. Rozkaz zaś wydał demokratycznie wybrany, przy zachowaniu wszystkich pozorów, władca. Za nasze pieniądze, które unijni biurokraci ślali by budować podobno nową rzeczywistość, powstawały złote sracze w bezgustnych rezydencjach. Zimno się zrobiło i dreszcz zaczął biegać po plecach. Miszka też się zbudził, na dwóch łapach stanął i na razie warczeć zaczął. On przecie nie agresor, on tylko z bratnią pomocą pospieszyć może, praktykę w tym dzisiejsi władcy wypili z mlekiem matki.

No ale cóż, my ludki małe wpływu na rozwój sytuacji nie będziemy mieli żadnego. Wielcy tego świata zadecy-

dują i tak będzie. Dlatego też skupię się na moim kuraku. Od pewnego czasu po naszych podwórkach biegają kurczaki hamburskie. Niezorientowani myślą, że to rasa. Nic bardziej mylnego, to tylko sposób hodowli. Przemysłowy brojler w zamkniętym kurniku ledwo co łązi przez 9 tygodni i w tym czasie osiąga wagę 2,5 kg. Moje natomiast są na wolnym wybiegu, jedzą tylko przeze mnie skomponowaną śrutę, do poidel mają łąną serwatkę, poza tym tak się chowają przez co najmniej pół roku. Toteż smaku nie ma co porównywać. Tamto lignina, mielony papier toaletowy, zyskujący aromat dzięki dosypanym przyprawom, wśród których prym wiedzie glutamian sodu. Nasz – soczysty, mięso dojrzałe, inaczej smakujące. Wziąłem więc dwa takie i rozpoczęliśmy pracę nad nimi razem z Moim Szczęściem. Najpierw zo-

stały w bardzo mocnym wywarze jarzynowym obgotowane na delikatny rosółek z zieleń angielskim, liściem laurowym i owocami jałowca. Potem tuszki trzeba delikatnie wyjąć, na nowo przyprawić ziołami, czosnkiem, do środka zaś jeden dostał mandarynki, drugi jabłka, lekko posolone i popieprzone kuraki poszły do piekarnika. Brytfanny przykrywać nie należy, niech się ładna skórka złoto-brązowa wytworzy. Do tego Moje Szczęście w foremkach do muffinek uwarzyło szpinakowe babeczki, mocno czosnkowe, nadziewane w środku pieczarkami, zamiast ziemniaków poszedł kalań gotowany i mizeria ze śmietaną posypana zielonym koperkiem. Wyszło tak, że nie pytać, nic nie zostało na później, jeno kosteczki oblizane. Z pełnym żołądkiem można było spokojniej pomyśleć o Ukrainie.

ZIEMIANYN



Gołąb

*wpadł do mnie z łoskotem
przez uchylone okno
dzbany zamienił w skorupy
swoje fatszywe nuty
pozawieszał w powietrzu*

*siłą posklejaną mozolnie
z resztek odnalezionej woli
zdecydowanie
wypchnęłam gołębia na zewnątrz*

*a pokój
wzięłam w dłonie
i uważnie położyłam na stole*

Gosia Wolak, grudzień 2012



Duif

*hij viel luidruchtig bij mij binnen
door het open raam
veranderde vazen in scherven
liet zijn valse noten
in de lucht hangen*

*met de kracht moeizaam verlijmd
van de restjes van mijn herwonnen wil
vastbesloten
duwde ik de duif naar buiten*

*en de vrede
nam ik in mijn handen
en legde ik voorzichtig op tafel*

vertaling Gosia Wolak en Julia Vonk

W oparach bogactwa

JERZY SKOCZYLAS

W jednym z pism wyczytałem, że dom sułtana Brunei jest największym na świecie pałacem, który w chwili budowy w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku kosztował 400 milionów dolarów. Teraz jest wart z pewnością trochę więcej, no powiedzmy 500 milionów dolarów.

Chałupka jest niczego sobie. Ma 257 łazienek, 1788 pokoi, salę balową na 4000 osób, 5 basenów, meczet, wielopiętrowe garaże, gdzie stoi między innymi ulubiony Rolls – Royce władcy z zawsze włączonym silnikiem. Widać szef na paliwie nie oszczędza. Przysłowiowe złote klamki też są i wcale nie są przysłowiowe tylko złote. Jedynie prywatny okręt podwodny sułtana nie jest cumowany przy samym pałacu, a w porcie obok.

I teraz proszę uważać. Rodzina sułtana liczy osiemioro ludzi, a w rezydencji zatrudnionych jest ponad 600 osób służby. Tak jest. Uwija się tam ponad pół tysiąca pracowników.

Ktoś powie, że to fanaberie, przegięcie, rozpasanie itd. itp. Może.

Socjalista zaraz wpadłby na pomysł, żeby zrobić nacjonalizację lub reformę

rolną. Czyli tłumacząc na język potoczny sułtana okraść, zabrać mu jego majątek i rozdzielić między służbę. Tym sposobem wszyscy dostawszy po kawałku po trzech latach chodziliby głodni i z gołymi tyłkami, bo socjalizm i sprawiedliwość społeczna właśnie na tym polegają. Z tym, że lewicowy efekt programowy byłby osiągnięty: nie byłoby pałacu i byłaby nędza.

Ja, jako osoba reagująca na socjalizm i wszelkie lewactwo jak diabeł na święconą wodę spojrzałem na pałac sułtana Brunei w sposób nie ideologiczny, ale logiczny i praktyczny.

Przecież jest to zakład pracy dający robotę sześciuset osobom. Tak, sześćset osób ma tam stałą i pewną pracę zapewniającą byt im samym i ich rodzinom, czyli sporej grupie ludzi.

Że ten pałac kosztował 500 milionów dolarów? I co z tego, to dużo?

A ile kosztuje nowoczesna fabryka? Tyle samo lub więcej. Zainwestują 500 milionów dolarów, powstawią automaty, komputery, roboty i co? I w efekcie zatrudnią 40 ludzi.

Za to w pałacu sułtana nie trzeba komputerów i robotów wystarczy szczotka do pucowania podłogi, ścierka do wycierania kurzu, przybory do czyszczenia butów ... i sześćset osób ma robotę. Czy to nie prostsze?



Więc w tym miejscu zgłaszam mój patent na likwidację bezrobocia.

Dbajmy o bogatych! Nie stawiamy fabryk, ale budujemy im pałace. To pewna i sensowna inwestycja za całkiem porównywalne pieniądze. Tam znajdzie zatrudnienie więcej osób, niż w kosztownym przemyśle. Tam do roboty załapią się nie tylko sprzątaczkę i sprzątacze, ale także kucharze, kierowcy, konserwatorzy, hydraulicy, elektrycy, murarze, kelnerzy, krawcy, szewcy, nauczyciele, no i ... artyści, bo przecież trzeba będzie bogatemu na balu zagrać i zaśpiewać lub portret małżonce namalować.

Inwestowanie w pałace to same plusy. W przemyśle i technice trendy i kierunki zmieniają się bez przerwy, zaś zamiłowanie do luksusu i zbytku jest ponadczasowe i stałe. To trwało, trwa i trwać będzie.

Inwestujmy w bogatych. Im się też coś od życia należy. JS

Zoover City Trip Award 2014 dla Krakowa

Kraków zwyciężył w konkursie prestiżowego holenderskiego portalu turystycznego Zoover na najlepsze miasto na podróże w 2014 r.

Pan Andrzej Pawluszek, dyrektor Polskiego Ośrodka Informacji Turystycznej w Amsterdamie, potwierdził atrakcyjność Krakowa na rynku holenderskim. „O ile w holenderskich księgarniach jest niewiele przewodników po Polsce, to po Krakowie jest ich naprawdę sporo. Kraków stał się dzwignią promocyjną Polski w Holandii. Wynik Krakowa świadczy o tym, że dla Europejczyków Polska nie jest szarym miejscem. Mam nadzieję, że wynik wpłynie na najbliższe plany wakacyjne holenderskich i europejskich turystów”.

Zdaniem zastępcy szefa polskiej ambasady Piotra Perczyńskiego ta nagroda jest wielkim zaszczytem i wyróżnieniem dla miasta. „To fanta-



Nagrodę odebrali Andrzej Pawluszek i Piotr Perczyński
fot.ZSCz

styczna wiadomość dla Krakowa i dla nas wszystkich. Myślę, że dla każdego, kto był w tym pięknym mieście, nie jest to wielkim zaskoczeniem i nagroda jest jak najbardziej zasłużona”.

Na drugim i trzecim miejscu po Krakowie znalazły się Sewilla i Wenecja. Użytkownicy Zoovera przyznali obu miastom średnią ocenę 8,4 pkt. Sewilla i Wenecja także zdobyły wysokie oceny w zakresie oferty kulturalnej.

Holenderski portal turystyczny Zoover ma wersje językowe w większości europejskich krajów. Portal, który opisuje i rekomenduje atrakcje turystyczne na całym świecie, ma ok. 185 mln odsłon rocznie. Pod względem liczby odsłon i jakości informacji jest to portal numer jeden w krajach Beneluksu.

Gratulacje od redakcji Sceny Polskiej!

W drodze do Holandii

Fragment powieści „Dwa słowa”



ALEK SILBER

– Na Dworcu Gdańskim odprowadzała mnie mała grupka: Kasia, Grubey i Prezes. Grubey dał mi na drogę pętko kiełbasy – wiedział, że w Londynie takiej nie dostanę, „a i na drogę się przyda”. Prezes konwencjonalnie przyniósł pół litra żytniej, a Kasia czerwony goździk. Wracałem do Anglii w ponurym nastroju; zostawiałem dziewczynę, kolegów i Warszawę, a w listopadzie moja londyńska norka prezentowała się szczególnie ponuro.

W przedziale siedziała tylko jedna osoba, mocno wytapirowana, korpulentna blondyna w wieku późny Balzak. Przywitaliśmy się taktownie, położyłem walizkę na półce; pętko kiełbasy, butelkę i kwiat rzuciłem na siatkę pod spodem. Położyłem się na pustej ławce i kołysany równomiernym stukotem kół, zasnąłem.

Obudził mnie rwetes, nawoływania i ogólne zamieszanie. Domyśliłem się, że byliśmy w Poznaniu. Nagle spośród chaosu doszły mi głośnie utyskiwania i jęki. Chcąc poznać przyczynę tak żywo demonstrowanej ludzkiej niedoli, otworzyłem drzwi przedziału, ale nim cokolwiek zdołałem zobaczyć, uderzył mnie silny zapach alkoholu. Okazało się, że jęczał przejęty konduktor, a utyskiwał starszy, drobny człowieczek o pomiętej twarzy targający korytarzem ogromną walizę. W klasycznej tradycji polskiego rzemiosła zrobiona była z brązowej fibry i obita metalowymi narożnikami. Niestety czas zrobił swoje i kiedyś wspinała waliza była teraz mocno sfatygowana, a rączka wisiała na ostatnim nicie, który lada chwila mógł puścić. Ciągle nie mogłem zidentyfikować przyczyny dramatu. Dopiero kiedy człowieczek zbliżył się do naszego przedziału, wszystko stało się jasne. Za walizką ciągnęła się wąska, ale nieprzerwana stróżka płynu. Sądząc po nieomyślnej woni, płynem tym musiała być wódka.

Okazało się, że starszy pan był trzecim pasażerem naszego przedziału. Po wejściu otworzył walizkę i posapując próbował zrobić porządek w przemokniętym bagażu. Usunął kawałki szkła i wyjmując kolejne butelki, wycierał je wyjętą ze środka koszulką. Po skończeniu usiadł i dołączył do milczących współtowarzyszy podróży. Ja – wiadomo, on – jasne, a blondyna pewnie też za kimś tęskniła, albo kogoś opuszczała. Rozległ się gwizdek zawiadowcy, wagony szarpnęły i ponury przedział wraz z resztą pociągu leniwie ruszył w stronę Holandii. Dziadek smętnie patrzył na mokrą walizę na półce, blondyna na swoje paznokcie, a ja przez okno.

Po czasie poczułem się głodny. Wyjąłem z torby kanapkę i zacząłem jeść. Dziadek wprawdzie nie był jeszcze głodny, ale bezbłędnie dostrzegł leżącą na półce zubrowkę, więc nieśmiało zasugerował, że może by ją otworzyć. Pomyślałem, właściwie czemu nie? Będzie mniej bagażu i może ożywi to smętną podróż. Sięgnąłem na półkę i postawiłem butelkę na stoliku. Na to blondyna wyrwała się z bezmyślnej kontemplacji, poderwała się z niespodziewaną energią i krzyknęła – to ja dam szkło! Wraz z dziadkiem pomogliśmy jej zdjąć z półki ogromną torbę, skąd po chwili ukazały się małe zawiniątka, w nich owinięte w trociny kryształowe kieliszki z metkami „Krosno”. Blondyna zaczęła je czyścić i odklejać owalne naklejki, stolik przykryła cepeliowską serwetą i nagle martwy przedział ożył, niczym Feniks wznosząc się z popiołów niebytu. Mały stolik z trudem pomieścił grzybki w occie i paszтет dziadka, poledwicę i kabanosy blondyny oraz moje pętko myśliwskiej.

Pierwsze toasty były za udaną podróż i szczęśliwe przybycie do celu. Potem za miłe towarzystwo, jakie nam zesłała opatrność.

– Właściwie, to nawet się nie przedstawił, jestem Krystyna.

– Bardzo mi miło pani Krysio. Kazik – dziadek podniósł się i pocałował panią Krysię w rękę.

– Po co te ceregiele, mówmy se po imieniu.

– Też tak uważam. To brudzia! – Kazik wstał ponownie, uzupełnił kieliszki, przeplótł ręce z Krysia i ucałował ją w oba policzki. Potem była moje kolej – Krysia, Kazik, buźka, buźka. Atmosfera się ożywiła. Dziadek i ja przesiedliśmy się na ławkę blondynki, która uśmiechając się kokieteryjnie zajęła honorowe środkowe miejsce,

z nieukrywaną radością odwracając się do Kazia, to znów do mnie.

– Pyszne grzybki – rozwijała rozmowę nasza dama.

– Sam je marynowałem – powiedział z dumą Kazio – i sam zbierałem, same prawdziwki.

– Z tą poledwiczka – pyszne, chociaż sama też robię niezłe marynaty, najchętniej rydze. Świętej pamięci babcia uczyła mnie gotować. Och, chłopaki, żebyście choć raz mogli spróbować babcine dania: zraziki, barszcz ukraiński, flaki, bigos! Ale najbardziej uwielbialiśmy jej wypieki, zwłaszcza tort orzechowy. Wiecie co? Mam taki tort z jej przepisu w torbie – powiedziała wstając.

– Kobito, zostaw! To na deser, spokojnie, jeszcze nie wysiadamy. A te grzybki – wymachiwał nabitym na widelec borowikiem – wiozę do kuzyna w Holandii, mieszka niedaleko Utrechtu – i przechyliwszy kieliszek dziadek rozpoczął swoją opowieść. Po trzydziestu latach pracy w PKP poszedł na emeryturę i w nagrodę za wysługę lat dostał bezpłatny bilet kolejowy na podróż po Europie. Nigdy nie był za granicą, więc postanowił skorzystać z okazji i zobaczyć kawałek świata. Kuzyna właściwie nie znał, więc chciał mu się jakoś odwdziżyć za gościnę, stąd wódka – spojrzał już nieco odważniej na walizę. Bo co mógł mu przywieść z Polski? Na wszelki wypadek wiozł jeszcze serwetki, ciupagę i kierpce z CEPE-Li. W Holandii na pewno takich nie mają, tam pewnie z góralami kiepsko. Skończył swą opowieść dopijając resztę wódki. Okazało się, że butelka była już pusta. Krysia, raz jeszcze okazując niezwykłą, choć już lekko zachwianą energią i przedsiębiorczość, wyjęła butelkę luksusowej. Chyba właśnie wtedy postanowiliśmy dodać spotkaniu trochę uroku i zawiesiłem czerwony goździk na rączce okna. Krysia zaaprobowała to szerokim uśmiechem, poprawiła włosy i zaczęła opowiadać.

Jana poznała w Augustowie, był tam na wycieczce autobusowej z grupą Holendrów, ona na wczasach. Spotkali się na potańcówce. Poprosił ją do tańca, pachniał zachodnimi perfumami i cygarami. Może nie był zbyt przystojny, ale wysoki, ubrany w kraciastą marynarkę i dżinsy – spodobał jej się. Tańczyli cały wieczór, początkowo nieśmiało, po kolejnych drinkach coraz bliżej. Uśmiechali się, coś tam

mówili, ale niewiele. Krysia nie zna obcych języków, a jego polski ograniczał się do dzikuje i ładne dziwizyna, co zawężyło skalę wspólnych tematów. Z pomocą koleżanki wymienili adresy i zaczęła się korespondencja. Pisali przez rok, koleżanka cierpliwie tłumaczyła jego listy, potem pisała po angielsku pod dyktando Krysi. Rozłąka potęgowała ich pragnienie, wzmagala tęsknotę, zwłaszcza z jego strony. Jej życie w Kielcach nie było sielanką. Pracowała w sklepie spożywczym, mieszkała w kawalerce z matką, latem wyjeżdżała na wczasy albo do ciotki. Już same nazwy: Amsterdam, Paryż, Londyn – kusily ją posmakami wielkiego świata, Zachodu. Pewnie te myśli w jakiś sposób znajdowały swoje odbicie w listach, w każdym razie wzmagaly jej tęsknotę za Janem. On, czując że niewinny romanśik może się przerodzić w coś większego i atrakcyjna blondyna może być jego na zawsze, rzucił wszystko na jedną szalę i oświadczył się.

– Napijmy się!

– Gratuluje! Krycha, daj pyska! – Kazik pocałował ją w policzek, już tym razem nie wstając. Narzeczona objęła nas i spoglądając to na jednego, to na drugiego powiedziała – fajne z was chłopaki – i zaczęła śpiewać Szła dziewczynka. My początkowo nieśmiało, potem coraz pewniej, dołączyliśmy kołysząc się na boki. Przy Pije Kuba nasze trio śpiewało już pełnym, choć może nie najczystszym głosem. Krysia rozlała ostatnie krople luksusowej i nie przestając śpiewać Czerwony pas, rzuciła pustą butelkę na ławkę. Kazik w mig pojął wymowę jej gestu i podniósł się, ale po chwili opadł z powrotem. Dopiero za trzecim razem, wspomagany silnymi rękami biesiadników, utrzymał pozycję pionową, co pozwoliło mu wyciągnąć z fibrowej walizki kolejną flaszkę. Nagle Krysia przerwała śpiew w pół słowa i złożyła ręce między kolanami.

– A może źle robię?

– Ależ Krysiu, co ty wygadujesz? – Kazik głąskał ją po dłoni.

– Daleko od matki, od domu. Bo ja wiem jaka jest ta Holandia? Gdzie ja jadę? Języka nie znam, żadnych znajomych. Jana właściwie też nie znam. A jak mnie będzie bił?

– Dziecko, co ty pleciesz? Toć to cywilizowany naród, dżentelmeni, nie to co nasze moczymordy. A gdyby nawet, to... – Kazik stanął na chwiejnych nogach i bijąc się w piersi przysięgał – to, my, kolega i ja, my na to nie pozwolimy! – opadł na ławkę, podniósł się z trudem – pierwszy obję mu mordę! Napij się Krycha, bo wpadasz w melancholię – i drżącą ręką dopełnił kieliszki.

– Łatwo ci mówić – w melancholię. Wy chłopcy niczego nie rozumiecie, serca nie macie ani uczuć – zaczęła płakać. Kazik i ja próbowaliśmy ją pocieszać używając wszelkich możliwych argumentów: że będzie miała lepsze życie i cały świat stanie przed nią otworem; podróże do ciepłych krajów, samochód, ciuchy, pełen komfort. A w kraju wiadomo – bida z nędzą, ciasne mieszkanie, kolejki, w końcu do domu nie tak daleko, parę godzin pociągiem i w każdej chwili może wrócić. – Właśnie, że nie! – zaoponowała pochlipując, musiała się wymeldować i oddać dowód. Teraz jak ta sierota jedzie w obcy, nieznany świat. A jak będzie tęskniła do Kielc? A jeśli Jan przestanie ją kochać, to gdzie się podzieje, na ulicę? – I w szloch. Kazik przyjął inną taktykę wychwalając jej nieprzeciętną urodę, czar osobisty i inteligencję. Po czym wyznał półszepem (wolno mi było słuchać, bo byłem jak rodzina), że Krysia jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkał i że w ogóle to powinna być wybrana miss świata, bo i włosy, i usta, i piersi... Kazik uwielbiał właśnie takie prawdziwe kobiety... a nie te chude, młode drapak, co to nie wiadomo, baba czy strach na wróble. A ona miała wszystko tam gdzie trzeba i wspaniałą fryzurę koloru blond i oczy, piękne nawet we łzach, i serce. Zbliżył dłoń niemal dotykając – bo pod tą wielką piersią bije wielkie serce! – Gdyby był o dwadzieścia lat młodszy, rzuciłby świat u jej stóp i kochał do grobowej deski, takich kobiet już dzisiaj po prostu nie ma! To mówiąc klęknął przed nią na kolano, ofiarowując zdjęty z okna goździk.

W tym momencie otworzyły się drzwi przedziału i, jak z innego świata, doszły nas odległe słowa – paszporty do kontroli. Ale prawdziwy szok nastąpił po przejechaniu granicy niemieckiej. Nie dla nas, dla nowych pasażerów. Stanęli w drzwiach przedziału wionącego oparami alkoholu. Po podłodze turlały się puste butelki, na cepeliowskim stole, pomiędzy kryształowymi kieliszkami dogorywały resztki kabanosów, za nimi nie dokończona żytnia. Przy oknie nasza trójka: zmięty, niezbyt przytomny Kazio, obok rozmazana blondyna ze sfatygowanym goździkiem w rękę i przy oknie ja.

Czyściutcy i świeżutcy Niemcy stanęli w drzwiach kurczowo ściskając wyglansowane walizki. Nikt nie śmiał zrobić pierwszego kroku. Dopiero kiedy pozbierałem z podłogi puste butelki, a Kazik posprzątał ze stołu, pan w kapeluszu i okularach nieśmiało położył swoją walizkę na półce i, udając że nas nie widzi, siadł na brzegu ławki, jakby była zakazana. Krysia wykorzystała zamieszanie i w czasie, kiedy nowi pasażerowie zajmowali swoje miejsca, pośpiesznie odświeżyła makijaż. W przedziale zapanowała grobowa cisza. Dopiero po czasie, niczym zgrzyt noża po szkle, zabrzmiały wypowiedziane po niemiecku słowa jednego z pasażerów.

Pierwsza wysiadła Krysia. Wychylona przez okno szukała na peronie narzeczonego. Na jego widok pomachała mu radośnie. Po czym pożegnała się z nami, wzięła swoje dwie duże torby i ze smutną miną opuściła przedział. Kazik wysiadł parę stacji dalej. Podaliśmy mu walizkę przez okno. Była bardzo ciężka. **AS**



Siła miłości



ALICJA GRYGIERCZYK

Bylaam zajęta tłumaczeniem w Biurze Pracy, kiedy podszedłeś do mnie i powiedziałeś, że ktoś, kto obiecał pomóc ci w załatwieniu zasiłku dla bezrobotnych, nie przyszedł i zapytałeś, czy mogłabym pójść z tobą na umówione spotkanie. – Oczywiście – odpowiedziałam. Tego dnia nie miałam już nic do zrobienia. – Moja dziewczyna jest bardzo chora i chcę się nią opiekować. Tak zacząłeś swoją opowieść, z której dowiedziałam się, że przyjechaliscie do Holandii, żeby zarobić na wasz wymarzony dom i wszystko układało się pomyślnie do momentu, kiedy Ela zaczęła skarżyć się na bóle w nodze. Lekarz domowy, do którego się zgłosiła, skierował ją do fizjoterapeuty. Po paru wizytach, ból nasilił się tak bardzo, że wróciła do niego, a on stwierdził że widocznie fizjoterapeuta jest niekompetentny i polecił poszukanie innego. Wizyty u innego nie pomogły, a ból stawał się już nie do zniesienia. W końcu, po dwóch miesiącach, lekarz domowy wypisał skierowanie do ortopedy, a pierwszą rzeczą którą ten zrobił, było skierowanie na badanie krwi. Od tego momentu zaczął się wasz dramat, którego nie przyjałeś do świadomości, bo kiedyś w Polsce podeszła do Eli wróżka i powiedziała jej, że wyjdzie za mąż za cudzoziemca i że będzie miała z nim dwoje dzieci. Wróżki, które pojawiały się w moim życiu, przepowiedziały mi tak dziwną przyszłość, która się spełniła, że wzięłam to za dobrą monetę. Rozmawiałeś ze mną po polsku tak dobrze, że dopiero, kiedy powiedziałeś, że jesteś Słowakiem za którego Ela wkrótce wyjdzie za mąż, dotarło do mnie, że to ty jesteś tym cudzoziemcem. Opowiedziałeś mi o przygotowaniach do ślubu i diagnozie, która została postawiona po badaniu krwi i zdjęciu rentgenowskim: RAK KOŚCI. Miałeś w sobie jakąś kruchość, a jednocześnie ogromną siłę, a ja czułam, że nie wolno zostawić cię bez pomocy, w przeciwnym razie ta siła może obrócić się przeciwko tobie.

Przyznano ci zasiłek ale nałożono obowiązek: minimum raz w tygodniu odwiedzenie jakiegoś uitzendbureau i poinformowanie o tym UWV. Zadzwoniłam i powiedziałam, że nie możesz szukać pracy, bo opiekujesz się swoją chorą dziewczyną. W odpowiedzi usłyszałam, że absolutnie nie zwalnia cię to z tego obowiązku. –Nie, to nie – oświadczyłeś. – Imbir z kurkumą i bazylią jest lekiem na raka, ale ma być podawany codziennie świeży, arnika łagodzi ból, ale trzeba ją wcierać co trzy godziny, a obiady oparte na diecie przeciwrakowej są tak czasochłonne że nie zostaje mi czasu na szukanie pracy. W międzyczasie Elę poddano chemoterapii i wyznaczono termin operacji. Pewnego dnia wezwano ją na rozmowę. – Są przerzuty na drugą nogę – usłyszała. – Niestety już nic nie możemy zrobić. Opowiadałeś mi o sukni, jaką będzie miała na sobie i dacie ślubu, wyznaczonej przez Urząd Stanu Cywilnego w Venray: 18 -ego. Liczba 18 jest liczbą – powiedziałaś. Twoja przyszła żona urodziła się 18-ego. – Będzie miała bukiet z frezji, bo to są jej ulubione kwiaty, a szczególnie ich zapach. Frezje, to jedne z nielicznych kwiatów w Holandii, które, pomimo że sztucznie hodowane, pachną. Są tak delikatne z natury, że hodowcom nie udało się uzyskać takiej długowieczności jak u innych kwiatów, za to frezjom udało się ocalić swoją duszę: ich zapach. Po ślubie, twoja żona zaczęła tracić czucie w nogach i lekarz prowadzący wypisał

skierowanie do Hospicjum. Odmówiłeś i nie mogłeś zrozumieć jego irytacji. Patrzyłam na ciebie, cię człowieka, który pozostał po mężczyźnie, którego poznałam dwa miesiące temu, bo nie przespał ani jednej nocy i rozumiałam lekarza, który tłumaczył, że jeżeli chcesz jej pomóc, musisz zadbać o swoją energię, która jest na skraju wyczerpania. – W Hospicjum zajmą się Elą specjaliści, a ty będziesz mógł się zregenerować, a w ciągu dnia odwiedzać ją, kiedy tylko zechcesz. W przeciwnym razie nikt nie będzie miał z ciebie żadnego pożytku. Asystentka lekarza podsunęła ci do podpisania zgodę. Odsunąłeś ją od siebie zdecydowanym gestem. Spowodowało to jeszcze większą irytację lekarza. Ostentacyjnie wyszedł z pokoju. Nie miałaś pojęcia o co chodzi. Pielęgniarka tłumaczyła ci, że nie dasz rady, że to może jeszcze długo potrwać, a ty przecieć nie masz nikogo, kto mógłby cię choć na chwilę odciążać. – Odciażyć?? Nie rozumiałeś co do ciebie mówi. – Nam jest cudownie razem! Pomyślałam wtedy po raz pierwszy, że siła którą masz w sobie ma na imię miłość, jest więc niewyczerpywalna... Cały czas miałeś kontakt z lekarzem na Słowacji, a kiedy ten dał ci nadzieję, postanowiłeś zabrać Elę do siebie, do DOMU. Zarezerwowałaś samolot i opiekę lekarską w czasie lotu. Zostało ci jeszcze rozliczenie się z holenderskim lekarzem domowym, którego zwlekanie z wypisaniem skierowania do specjalisty spowodowało, że doszło do przerzutów.



Adwokat który prowadził twoją sprawę chciał zobaczyć się z twoją żoną i..... umówiliśmy się u ciebie w domu.

TEGO DNIA ELA ODESZŁA

W łóżku leżało ciało pięknej, młodej dziewczyny. Jej twarz emanowała spokojem, a pokój wypełniała tak dobra energia, że coś kazało mi powiedzieć, że tak miało być, że Bóg potrzebował anioła i dlatego zabrał ją do siebie, że ona jest spełniona, popatrz na jej twarz, jej jest już dobrze, skończyło się cierpienie.

– Nie wierzę w Boga – powiedziałeś i rozplakałeś się.

Dwie empatyczne siostry, właścicielki zakładu pogrzebowego, które przyjechały po Elę, na twoją prośbę, żeby jej jeszcze nie zabierały, powiedziały, że dobrze, że w takim razie przyjadą jutro rano. Zostałeś sam z ciałem swojej żony. Zaczęłam się o ciebie martwić. Parę razy wykręcałam twój numer telefonu, ale coś mnie wstrzymywało żeby wykręcić go do końca i kazało zostawić cię w spokoju. Zadzwoeniłam dopiero na drugi dzień. – Jak się czujesz? – zapytałam. – Dobrze – usłyszałam twój spokojny głos – dobrze spałam. Kiedy przyjechałam, empatyczne siostry już były i z holenderską mentalnością informowały cię jak będzie odbywało się zabieranie Eli do zakładu pogrzebowego: owiniemy ją prześcieradłem na którym leży, przeniesiemy na łóżko z kółkami i wwieziemy do samochodu, który czeka na zewnątrz. – Ja chciałbym ją sam przenieść na to łóżko – powiedziałeś. Wzięłam ją na ręce, a my asystowałyśmy ci w tym przenoszeniu, mistycyzmie miłości, który oszołomił nas tak, jak tylko miłość oszołomić potrafi. Siostry wybrały boczną, większą drogę, przez las, jechały bardzo, bardzo powoli.... – Ela lubiła las, a najbardziej

drzewa iglaste... – powiedziałeś rozglądając się dookoła. Opowiedziałeś mi też o jej tęsknocie za matką, która nie odwiedziła jej w czasie choroby i o nadziei Eli, że może matka pojawi się w ostatniej chwili na jej ślubie, żeby zrobić jej niespodziankę.

Nie pozwoliłeś jej dotknąć obcym. Znowu przeniosłeś ją sam na miejsce w którym miała leżeć do dnia pogrzebu. Ze skupieniem słuchałeś holenderskich sióstr, które pomimo empatii, którą miały w sobie, z detalami mrozącymi Słowianom krew w żyłach, informowały cię o przebiegu kremacji. Urny, które były w zakładzie pogrzebowym zrobione były z marmuru i ceramiki. Nie mogłeś dokonać wyboru. – Chciałbym, żeby była z drewna – powiedziałeś. – To jest możliwe, ale tylko na zamówienie – usłyszałeś. – To proszę zamówić. W gablocie z urnami zobaczyłeś coś, co przykuło twoją uwagę: linie papilarne odcisnięte w srebrze albo szkle, otoczone metalową obręczą, wspartą słupkiem wychodzącym z podstawy na którym umieszczona była świeca. – Ale to jest bardzo drogie – wyrwało się jednej z holenderskich sióstr. – Dla niego bezcenne... – pomyślałam, ale przetłumaczyłam ci to, co powiedziała. – Ja to chcę mieć – powiedziałeś. W dzień pogrzebu, przyjechałam po ciebie. Wyszedłeś z domu, w pięknym, czarnym garniturze, a w dłoniach miałeś...bukiet białych frezji. Zabrakło mi na moment oddechu. Wspominałeś mi o tym bukiecie, że chciałbyś je dać Eli na ostatnią drogę, ale tak trudno je teraz dostać... Pojechałam do kwaciarni, chciałam zrobić ci niespodziankę, ale powiedziano mi, że nie ta pora, że frezje to dopiero na wiosnę, teraz już nie mam szans na ich zdobycie...

Ela z bukietem białych frezji w dłoniach wyglądała jeszcze piękniej i jeszcze bardziej anielsko.

Jej matka przyjechała na pogrzeb, a kiedy opowiadałam jej o twojej miłości, opiece i o tęsknocie Eli za nią, przerwała mi cierpkimi słowami: – chciałam przyjechać, ale on nie przysłał mi pieniędzy. – Każda wymówka jest dobra dla tych którzy nie czują miłości – pomyślałam i zastanawiałam się co spowodowało, że zdobyła te pieniądze na pogrzeb i dlaczego nie potrafiła ich zdobyć wtedy, kiedy jej córka jeszcze żyła i chciała się z nią zobaczyć, bo jej dni już były policzone. Miała pretensje, że nie było księdza i mszy, a sama żegnając się z nią nie zrobiła nawet namiastki znaku krzyża. Kiedy dojeżdżaliśmy do krematorium, droga przez las mieszany zmieniła się nagle w las iglasty. Rozglądaliśmy się wokoło i nie wierzyliśmy własnym oczom: – same świerki i sosny, ulubione drzewa Eli... Tak jak chciałeś, odprowadziłeś swoją żonę do samego końca. Na urnie, którą dostałeś parę dni później, wydrukowana była trzy razy liczba 18: data urodzin, data ślubu i data pogrzebu. – Liczba 18, jest jej liczbą – brzmiały mi wypowiedziane kiedyś przez ciebie słowa.

Byłam przypadkowym przechodniem w twoim życiu, ale ponieważ od jakiegoś czasu nie wierzę w przypadki, chcę podziękować losowi za spotkanie z tobą i z Elą, za cudowną energię, którą od niej otrzymałam, za znaki na drodze, które dzięki tobie zaczynam dostrzegać i świadomość, że śmierć należy do życia, dlatego ją też trzeba celebrować.

AG

P.S. Dziękuję Ci, Slavo, za zgodę na opowiadanie Twojej historii na łamach Sceny Polskiej.

PIEREMACHOCHEL tańczy już 40 lat. GRATULACJE!

PIEREMACHOCHEL jest holenderską grupą taneczną z Utrechtu, która pielęgnuje bogate, holenderskie tradycje tańca ludowego. Tańce, które wykonują, pochodzą z całych Niderlandów, a głównie z Terschelling, Friesland, de Achterhoek, Noord-Brabant, West-Friesland i Zeeland. PIEREMACHOCHEL tworzy również nowe tańce, tak jak Walc Maximy. Grupa tańczy przy muzyce na żywo wykonywanej przez własną, znakomitą kapelę. Zespół występuje w kostiumach z Zeelandii. Do dzisiaj noszą je mieszkańcy Westkapelle.

Grupa występowała już na zaproszenie Pools Podium w Wielkopolsce, a w planach mamy jeszcze letnie warsztaty taneczne. Chętnych do nauki holenderskich tańców ludowych prosimy o kontakt ze Sceną Polską: poolspodium@gmail.com. ZSCZ



GR SHLAND



Supermarkt GroshLand - nowy polski sklep w Utrechcie zaprasza na prawdziwe supermarketowe zakupy. Największy wybór polskich produktów w centralnej Holandii. Ponad 10.000 produktów! Polecamy smaczne wypieki z własnej piekarni. **Z A P R A S Z A M Y !**



Proj. Natalia Schrotten



GROSHLAND
Rijnlaan 72
3522 BR, Utrecht
tel. 030-785 2206

Godziny otwarcia:
Pn-sb. 9:00-22:00
Nd: 12:00-18:00

* Zachęcamy do wykorzystania kuponu rabatowego dołączonego do róż w teatrze po spektaklu "Mój Boski Rozwód" 8 marca w Utrechcie

Podróż życia mamy i córki



Tajlandia - Laos - Malezja - Indie - Nepal



3 miesiące

33.000 km

bezpieczne
wspomnienia



Prezentacja na życzenie

Kontakt: poolspodium@gmail.com



Fundacja "hOlendry"



**Fundacja „hOlendry” powstała w maju 2013 roku w Polsce.
Celem fundacji jest promocja kultury Niderlandzkiej
w Polsce oraz działalność oświatowa, rekreacyjno-zdrowotna,
sportowa i kulturalna w zakresie rozwoju, wspierania i
promocji zdrowego trybu życia.**



Fundacja "hOlendry"

www.facebook.com/HolendryNowaRoza

www.nowarozza2.blogspot.com

www.poolspodium.org

**Jesteśmy otwarci na współpracę,
prosimy o kontakt mailowy:**

nowarozza2@gmail.com

poolspodium@gmail.com

Fundacja "hOlendry"

Numer konta BZ WBK: 88 1090 1854 0000 0001 2126 4460

IBAN: P188109018540000000121264460, SWIFT / BIC code: WBKPPLPP

Mazurian lakes

Wonder of nature



POLISH
TOURIST
ORGANISATION

POLSKA
COME AND FIND
YOUR STORY



Move Your Imagination



www.polen.travel